N. 27. WARSZAWA d. 26 Czerwca (8 Lipca) 1871 ROKU.

TYGODNIK MOD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionej agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

Z legend współczesnych.

Zwycięzki wojak wrócił z wyprawy,
Znużył go srogi zgiełk wojny —
Na ostry lemiesz przekuł miecz krwawy,
Chce żywot pędzić spokojny.

Zbudował chatkę po nad ruczajem,
Drzewa zasadził w ogrodzie —
I dawnym przodków swych obyczajem,
W cichej pracuje zagrodzie,

Pieszczone dziewczę skłonił ku sobie,
I święte zawarł z nią śluby —
Czuje wdzięk życia w całej ozdobie,
I złudnej nie pragnie chluby.

Czemuż — gdy czasem wzrok rzuci w pole,
Albo gdy ujrzy mogiłę —
Szeroką zmarszczką znaczy na czole,
Jakieś wrażenie niemiłe.

I mimowolnym zakreśla ruchem,
Znak krzyża nad sercem swojem,
Jak gdyby widma przed jego duchem.
Złowróżbnym snuły się rojem....

I długo rękę na sercu trzyma,
Znać go ból ciężki uciska —
I bratobójcza zgroza Kaina,
Krwawo z pod źrenic przebłyska....

Tak — laur, co niegdyś młode marzenia
Promienił barwą tęczową,
Dziś, w głębokościach jego sumienia,
Uwiązł koroną cierniową....

Cienie poległych — z rąk jego może, —
Z głuchego pobojowiska,
Wciąż go na swoje wleką bezdroże,
Z przed domowego ogniska.

Jan Prusinowski.

KAROL GOLDONI I JEGO EPOKA

PRZEZ

Stanisława Iz....

(Dokończenie.)

Karol Goldoni urodził się w Wenecyi w r. 1707 z rodziny toskańskiej. Dom jego dziadka bogatego szlachcica, był ogniskiem łączącem w sobie artystów wszelkiego rodzaju. Młody Karol wzrastający wśród uczt, zabaw i przedstawień teatralnych wcześnie nabył zamiłowania do sztuki w ogóle, a w szczególności do sztuki dramatycznej. Upodobanie to wzrastało szybko, dzieła Cicognini'ego, które mu wpadły w rękę, wzruszały go i budziły do najwyższego stopnia posunięte naprężenie ciekawości, i tak oddziałały na młody i wrażliwy umysł, że już w ósmym roku napisał pierwszą komedję. Natura uposażyła go nadzwyczajnie bogato, zdolności miał wielkie i wielostronne, ale właściwy Włochom duch lekkości nie pozwolił mu wyrobić się należycie i rozwinąć, wrodzonego talentu, a pełna niecierpliwości rzutna, młodzieńcza ruchliwość, na coraz nowe pędziła go drogi. Tę chwiejność, ten brak wybitnego kierunku, widać w Goldonim od lat jego najmłodszych. O wytrwałość młodzieńca posądzić trudno, krewkość widna na każdym kroku.

Uczęszczał kolejno na wydział lekarski, prawny, teologiczny, filozoficzny, uczył się u Jezuitów w Perugji potem w kolegjum w Pawji, gdzie z większem zamiłowaniem oddawał się nauce tańca, rysunku i fechtowania, aniżeli teologji. Z Pawji wydalony za napisanie ostrej satyry, która go zwierzchności naraziła, przeniósł się na uniwersytet do Modeny.

Jak wielką była jego wrażliwość, jak głębokie uczucie szlachetności, skłonnej do oburzenia się przeciw nikczemnym postępkom, świadczy następny wypadek, który o mało stanowczego wpływu na całe jego życie nie wywarł. W Modenie, przechodząc raz ulicą, ujrzał liczne zgromadzenie ludu, otaczające stojącego na wzniesieniu człowieka, z odsłonioną głową i związanemi w tył rękami.

Obok niego stał jeden zakonnik z księgą w ręku, a drugi zadawał mu pytania wśród okrzyków, urągań i zniewag wściekle wyjącej tłuszczy. Penitentem był człowiek, używający wielkiej wziętości dla swej nauki; ponosił zaś tę hańbiącą, publiczną karę za to, że śmiał ubliżyć kobiecie, którą ukochał. Okoliczność ta, wstrząsnęła na wskroś umysłem Karola i tak głębokie wywarła nań wrażenie, iż postanowił uciec od świata upadłego tak nisko, i zamknąć się w klasztornej celi. Zamiar zostania kapucynem, długo tkwił mu w głowie i dopiero czułe i troskliwe starania ojca, inny nadały mu kierunek. Z właściwą sobie zmienną ruchliwością w krótce przerzucił się w inną stronę.

Zebrał towarzystwo dramatyczne w Chioggia, gdzie jako autor i jako aktor zyskał wielkie uznanie, ale i teraz jeszcze stanowczo nie obrał sobie zawodu literackiego, nie związał ściślej ze sceną, tylko złożywszy świetny egzamin z prawa, został adwokatem w Wenecji.

Klientelę miał zrazu nieliczną, zabrał się więc do wydawania almanachów, w których rzeczy poważne mięszały się z komicznemi, wiersze z prozą, przepowiednie z dowcipami. Używały one wielkiego powodzenia i zjednały wielką sławę autorowi. Wygranie świetnego procesu ustaliło wziętość młodego adwokata, wkrótce jednak porzucił swój zawód i Wenecję, z powodu niedoszłego małżeństwa.

Wybuchła w tym czasie wojna z Austrją o posiadłości Włoskie, przerwała prace jego literackie, którym się z coraz większem oddawał zamiłowaniem; tułał się po północnych Włochach, łączył z aktorami, a potem przedstawił w Wenecji swoją tragikomedyę p. t. Belizarjusz, która świetnego doznała powodzenia. Poprzednio jeszcze odegrano w Wenecyi jego operę: Gondoljer Wenecki.

Rok 1736 był ważną dla Goldoniego epoką, pokochał w Genui piękną córkę notarjusza i pojął ją za żonę. Nie było to uczucie przelotne, powierzchowne, sięgało głębin jego duszy, wiernem mu też przez całe życie pozostało, i ono to rzucało czar po-

ciechy i szczęścia na dni próby i przeciwności, których mu los nie poskąpił. Mianowany konsulem genueńskim w Wenecyi, stracił majątek przez nadużycie oszusta, któremu się podejść dozwolił; pokazał się wtedy prawdziwym filozofem, i szukając w sztuce pociechy, napisał komedję p. t. Oszust. Po wielu przejściach został znowu adwokatem w Pizie, gdzie zyskał wielkie powodzenie i czas swój dzieląc między zajęcia prawne i scenę, ostatecznie poświęcił się zawodowi pisarza dramatycznego. Jego „Syn Arlekina" przedstawiony w Paryżu przez towarzystwo włoskie, takie zyskał uznanie, że autora wezwano do Francji r. 1761 — tu dostał posadę lektora i nauczyciela języka włoskiego przy córce królewskiéj. Napisana po francuzku komedja „Zacny raptus" zwróciła na niego uwagę, uzyskał 3,600 liców rocznéj pensji, która mu była wielką pomocą wśród kłopotów finansowych. Spokojne i pełne towarzyskiego wdzięku z wielu miar życie, przerwała mu Rewolucja francuzka. Straciwszy pensję, pozbawiony zasobów, opuszczony od wszystkich, umarł wkrótce. Po jego śmierci konwencja narodowa wyznaczyła wdowie pensyi rocznéj 1200 fr.

Takiem było ruchliwe i obfitujące w ciągłe zmiany życie poety włoskiego, którego współcześni albo wychwalali nad miarę, albo sądzili zbyt surowo— przypatrzmy się teraz pisarzowi i jego dziełom. Próbował on wszelkich rodzajów poezji dramatycznéj, ale tylko komedja zjednała mu sławę u współczesnych i przekazała jego imię potomności. Twórczość jego była niewyczerpana: samych komedji napisał 150. Studjując Moliera, którego obrał za mistrza, widział i obejmował bystrym swym umysłem wszystkie bijące w oczy niedostatki współczesnéj komedji. Wszelkie też usiłowania zwrócił ku temu celowi, aby stworzyć komedję wyższą, komedję charakterów, a usunąć na drugi plan intrygę niezręczną, bo nie na psychologji opartą, nadzwyczajne zdarzenia niespodziane i z loiką niezgodne przygody. Wątpić nam jednak wolno, czy dopiął tego wysokiego celu, cokolwiek na jego korzyść mówią jego wielbiciele. Goldoni położył dla sceny ważne zasługi wrażliwy, szlachetny czuł nizką trywialność i rażącą powszedniość współczesnéj literatury, ale sam nie zdołał się od niéj całkowicie wyłamać; miał wyższe pragnienia usiłował więc sobie piękno estetyczne przyswoić. Pracą swą i kierunkiem podniósł poziom sztuki, ale stanowczego przełamu w niéj nie zdziałał. Lekki jego umysł przesuwał się po wierzchu notował zewnętrzne oznaki, nie sięgał przepaścistéj głębi serca lukzkiego nie poruszał strun tajemniczych, które dźwięczą tylko pod dotknięciem mistrzowskiéj dłoni.

Nie stworzył on charakterów dzielnych, ani typów wydatnych, co wstrząsając wyobraźnię, na zawsze pozostają w pamięci. I nie mogło być inaczéj, kiedy jak wszyscy Włosi, nie mógł malować życia narodowego tylko towarzystwo, ztąd wypłynąć musiał brak uczuć gorących, namiętności silnych, dźwigni potężnych, ztąd często pokost powszedności bladéj i chłodnéj.

Same tytuły sztuk Goldoniego: Zabawne zdarzenie, Willegiatura, Mania Willegiatury, Szkółka, Miłość Zelindy i Lindora, Pamela, Ojciec rodziny itp: wskazują że nie przechodził szczupłych ram życia rodzinnego i towarzyskiego.

Stanowisku Goldoniego tak samo jak innych współczesnych pisarzów, brak narodowéj formy włoskiego piętna. To stanowisko ma pretensję do stanowiska czysto ludzkiego, ale pamiętajmy że bez narodowości, poglądom ludzkim brak fundamentu i geniusz zaledwie, utrzymaćby się na nim zdołał.

Po przeczytaniu kilkunastu jego komedji nie potrafisz wniknąć w zwyczaje, obyczaje i ducha narodu, którego przedstawiciela masz przed sobą: kosmopolityzm wieje zewsząd. Co więcéj, nieprzeniknięny na wskroś duchem swego narodu, nie umie się przejąć charakterem innego. Flegmatycznéj Hollenderce daje on tę żywość wydatną, tę stanowczość postępowania, ten dar spostrzegania się szybkiego w trudnych okolicznościach i ujęcia jednym rzutem położenia, słowem tę inicjatywę, która cechuje Włoszkę i jest jéj właściwą.

Język jego, jak uważają Włosi, w pierwszych dziełach niedość jest czysty, w następnych jednak włada nim poprawnie. Charaktery ludowe lepiéj mu się udało malować aniżeli sfer wyższych.

Zalety ważne Goldoniego stanowi znakomita znajomość sceny, któréj wszystkiemi sprężynami włada umiejętnie, niezrównana żywość sytuacji, zręczne prowadzenie intrygi mianowicie w utrzymaniu nieporozumienia, wysoko rozwinięty artyzm w prowadzeniu tryskającéj życiem rozmowy i bogata rozmaitość, która jego sztukom nadaje wielkie zajęcie i żywą je barwą obleka. Widać że na scenie porusza się swobodnie, że zna wszystkie jéj tajniki. Wybitna jego moralna dążność praktyczny ma kierunek. Nierozdzielną konsekwencją, łączy się tu występek z karą, cnota z nagrodą, a przedstawiane są w taki sposób, że pojęcie uczciwości zlewa się w duszy człowieka z pożytkiem.

Zalety te zjednały Goldoniemu ogólne współczucie i uznanie, na które zasługuje jako człowiek pracy i zacnych dążności. Wady płynące z czasu w którym żył, z powodów historycznych, na które odległa pszeszłość się składała, nabywają na téj podstawie prawa do większego pobłażania.

Jak zaś Goldoni wysoko był ceniony od spółczesnych, dowodzi list Woltera, który tu dajemy w przekładzie.

List Woltera do Adwokata K. Goldoniego.

„Mój panie, synu natury i jéj malarzu, pokochałem cię od czasu jak cię czytać zacząłem. Poznałem twą duszę z twych dzieł i powiedziałem sobie: Oto człowiek zacny i dobry, pełen twórczéj fantazji i prawdziwéj loiki, który oczyścił scenę włoską. Zaleca cię wielka twórczość i czystość, styl twój jest naturalny, dowcipny i miły. Radbym twoim komedjom dać tytuł: Włochy uwolnione od Gati'ego. Przyjaźń twoja zaszczyt mi przynosi i sprawia wielką przyjemność, znajomość twoją zawdzięczam p. Senatorowi Albergati; moje zaś uczucie zawdzięczasz sobie samemu. Życzę panu najdłuższego i najszczęśliwszego życia, jeżeli nie możesz być nieśmiertelnym jak twoje imię. Chciałeś mi dać dowód szacunku, a zrobiłeś mi największą przyjemność.

Korzystając z francuzkiéj swobody, oświadczam panu bez ceremonji, że masz we mnie gorącego zwolennika, najszczerszego wielbiciela i najlepszego przyjaciela we Francji. To coś więcéj warto jak to, że jestem twoim uniżonym i powolnym sługą."

ZACISZE

POWIEŚĆ S. J. TURGENIEWA

tłomaczona z rosyjskiego.

(Dalszy ciąg.)

Po czterech pierwszych wierszach Marja zwolna podniosła oczy, a kiedy skończył mówić, również zwolna rzekła.

— Jeżeli łaska, to proszę powtórzyć.

— A więc ten wiersz pani się podobał? zapytał Astachof.

— Proszę go powtórzyć.

Astachof powtórzył. Marja wstała, poszła do drugiego pokoju i powróciła z arkuszem papieru, kałamarzem i piórem.

— Jeżeli łaska, napisz pan ten wiersz dla mnie rzekła do Astachowa.

— I owszem, z przyjemnością, odpowiedział i zabrał się do pisania: lecz przyznam się, dziwi mię to, czem wiersz ten mógł się podobać. Ja go dlatego właściwie powiedziałem, żeby pokazać, że nie wszystkie wiersze są słodkie.

— A cóż myślisz, Janie Iliczu, o tych wierszach? zapytał Ipatof.

Jan Ilicz podług swego zwyczaju spojrzał tylko na Ipatowa i nic nie odpowiedział.

Otóż i skończyłem, zawołał Astachof położywszy wykrzyknik przy końcu ostatniego wiersza. Marja Pawłowna podziękowała i schowała zapisany arkusz papieru.

Po upływie pół godziny dano kolację, a w godzinę wszyscy goście rozeszli się na spoczynek. Astachof kilkakrotnie zbliżał się do Marji, lecz prowadzić z nią rozmowę było trudno, a jego opowiadania nie zdawały się ją bardzo zajmować. Kładąc się spać myślał o niéj, o Nadziei Aleksiejewnie, z tem wszystkiem zasnął by bardzo prędko, gdyby nie przeszkodził mu sąsiad jego Jegor Kapitonicz. Mąż Matreny Matfiejewny, rozebrawszy się i leżąc w łóżku, bardzo długo rozmawiał ze swym służącym i ciągle dawał mu nauki. Każde słowo wyraźnie dochodziło do uszu Astachowa, gdyż cienkie tylko przepierzenie ich rozdzielało.

— Trzymaj świecę prosto przy piersiach, mówił Jegor Kapitonicz żałośnym głosem; trzymaj tak żebym mógł widzieć twarz twoją. Zgubisz ty mnie, zgubisz człeku bez sumienia, zgubisz zupełnie.

— A czem, proszę jegomości? dał się słyszeć słaby i zaspany głos służącego.

— Czem? Ja ci powiem czem. Ileż razy mówiłem ci: Mitka, kiedy wyjeżdżasz ze mną gdzie w gościnę, zabieraj zawsze po dwie sztuki każdego ubrania, a szczególniéj... trzymaj świecę prosto... a szczególniéj spodniego. A dzisiaj cóżeś ty ze mną zrobił?

— A co?

— Cóż ja włożę na siebie dnia jutrzejszego?

— A cóż, to samo co i dzisiaj.

— Zgubisz ty mnie łotrze, zgubisz. Dzisiaj już nie mogłem sobie dać rady z gorąca. Trzymaj świecę prosto, słyszysz, a nie śpij kiedy pan z tobą rozmawia.

— Bo to i Matrena Matfiejewna zawsze powiada, po co taki tłomok z sobą zabieracie, tylko się niszczy bez potrzeby.

— Matrena Matwiejewna?..., a czy to rzecz kobieca w to się wdawać? Zgubicie wy mnie wszyscy, aj zgubicie! Długo tak jeszcze strofował sługę swego Jegor Kapitonicz, nie zważając na wzdychanie

pokaszliwanie i inne oznaki niecierpliwości Astachowa....

Nakoniec odprawił swojego Mitkę i zasnął, lecz Siergiejewicz nie wiele na tem skorzystał. Jegor Kapitonicz tak mocno chrapał, z takiem fantastycznem przygwizdywaniem a nawet zgrzytaniem, iż zdawało się że przepierzenie mu wtórowało; biedny Astachof omal nie płakał. W sypialni było nadzwyczaj duszno, posłanie z pierza parzyło go; zrozpaczony zerwał się nakoniec z łóżka, otworzył okno i z chciwością wciągał w siebie aromatyczną świeżość nocy. Okno wychodziło na ogród; na niebie było jasno, księżyc w pełni to odbijał się wyraźnie na stawie, to znowu zamieniał na długi, złocisty snop zwolna migającego się światła. Na jednéj ze ścieżek ogrodu Astachof ujrzał jakąś osobę w kobiecem ubraniu; przyjrzał się lepiéj: była to Marja. Przy świetle księżyca, twarz jéj wydawała się bladą. Stała nieruchomo, i nagle zaczęła coś mówić.... Astachof wychylił ostrożnie głowę.... i usłyszał urywek wczorajszéj poezji.

— Czy tak? pomyślał sobie, a więc wierszyki poskutkowały.

Zaczął wsłuchiwać się z podwójną uwagą...lecz Marja wkrótce umilkła i zwróciła się twarzą prosto ku niemu: dokładnie mógł on rozróżnić jéj duże ciemne oczy, surowe brwi i usta....

Wtem, wstrząsnęła się, odwróciła, weszła w cień padający z wysokich akacji i zniknęła. Astachof stał jeszcze dosyć długo u okna, potem jednak położył się, lecz zasnął nie prędko jeszcze.

— Dziwna istota pomyślał przewracając się z boku na bok, i powiadają że na prowincji nie spotkasz nic osobliwego... A cyliż to nie dziwne stworzenie! Zapytam się jéj jutro co robiła w ogrodzie.

A Jegor Kapitonicz ciągle chrapał po dawnemu.

III.

Na drugi dzień Astachof obudził się dość późno, i zaraz po wspólnem sniadaniu w stołowym pokoju, mimo że go stary Ipatof zatrzymywał, odjechał do siebie do domu, kończyć rozporządzenia gospodarskie. Marja była także obecną przy sniadaniu, lecz Astachof nie uważał za właściwe wypytywać ją o wczorajszą późną przechadzkę, należał on do rzędu tych ludzi, którym z trudnością przychodzi zajmować się dwa dni z kolei jakiemi bądź niezwykłemi myślami lub projektami. Wypadało by znowu rozprawiać o wierszach, a taki, tak nazywany poetyczny nastrój, nużył go bardzo prędko. Całe przedpołudnie przepędził w polu, zjadł z dobrym apetytem, przespał się i wstawszy zabrał się już do sprawdzania rachunków starosty, gdy nie skończywszy jeszcze pierwszéj stronnicy, kazał założyć do tarantasa i pojechał do Ipatówki. Widać ze ludzie praktyczni nudzić się nie lubią równie jak i inni śmiertelnicy.

Wjechawszy na groblę posłyszał głosy ludzkie i dźwięk instrumentu. W domu Ipatowa chórem śpiewali ruskie pieśni. Zastał tam całe ranne towarzystwo, wszyscy, a między niemi i Nadzieja Aleksiejewna, siedzieli wokoło mężczyzny lat 32 śniadego, włosów i oczu czarnych w aksamitnéj kurtce z niedbale zawiązaną czerwoną chustką na szyi i gitarą w ręku. Był to Piotr Aleksieicz Wieretief, brat Nadziei Aleksiejewny. Ujrzawszy Astachowa, stary Ipatof z radosnym okrzykiem poszedł na jego spotkanie, przyprowadził go do Wieretjewa i dopełnił wzajemnego między niemi przedstawienia. Astachof zamieniwszy z nowym znajomym kilka zwykłych grzecznych słów ukłonił się jego siostrze z uszanowaniem.

— My tu panie Astachof, po wiejsku pieśni sobie śpiewamy, rzekł Ipatof i wskazując na Wieretiewa, dodał: Piotr Aleksieicz nasz przywódzca, -- ale jaki! racz pan tylko posłuchać.

— To bardzo przyjemna rozrywka, odrzekł Astachof.

— Czy nie zechcesz pan przyłączyć się do chóru, zapytała go Nadzieja Aleksiejewna.

— Radbym szczerze, lecz nie mam głosu.

— Cóż to znaczy! Patrz pan i Jegor Kapitonicz śpiewa, i ja śpiewam, tu trzeba tylko wtórować. Siadaj no pan, a ty bracie zaczynaj.

— Jakąby tu pieśn teraz zaśpiewać? odezwał się Wieretief przebierająć po strunach gitary, i zatrzymawszy się nagle, spojrzał na, obok niego siedzącą Marję.

— Teraz zdaje się koléj na panią, rzekł do niéj.

— Nie, pan zaśpiewaj, odpowiedziała.

— Może pieśń, *płyńmy po Wołdze* odezwał się poważnie Astachof.

— Nie, tę chowamy na koniec, odpowiedział Wieretjef i uderzywszy po strunach zaśpiewał donośnie: *Słońce na zachodzie.*

Spiewał on wybornie, śmiało i wesoło. Jego męzkie rysy z natury wyraziste, jeszcze bardziéj ożywiały się. Niekiedy wstrząsał ramionami, przyciskał nagle dłonią struny gitary, podnosił w górę ręce, wstrząsał kędziorami i wzrok bystry rzucał naokoło. W Moskwie słyszał on często znakomitego Ilję i naśladował go. Chór zgodnie mu wtórował. Głos Marji wydzielał się z pomiędzy innych dźwięczną falą; on można powiedzieć, prowadził ich za sobą; ona jednak pierwsza zaczynać śpiewu nie chciała; przewodnikiem do końca był Wieretief.

Tymczasem ku wieczorowi nadciągnęła burza. Już od południa było parno, i w oddaleniu ciągle słyszeć można było grzmoty, pomału też szeroka ołowiana chmura oddawna leżąca na krańcu widnokręgu, zaczęła rosnąć i pokazywać się po nad wierzchołkami drzew. Poruszyło się parne powietrze, wstrząsane zbliżającą się burzą, wiatr się zerwał, zaszumiał nagle pomiędzy liściami, umilkł, znowu zaszumiał przeciągle, zawył, ponury mrok rozciągnął się nad ziemią, zganiając szybko ostatnie pobłyski wieczornéj zorzy, gęste obłoki wyrwawszy się niewiadomo zkąd, zaczęły przepływać po niebie, błyskawica zaświeciła czerwonem światłem i piorun uderzył ciężko i gniewliwie.

— Uchodźmy, rzekł stary Ipatof, bo zmokniemy do nitki.

Wszyscy powstali.

— Zaraz, zawołał Wieretjef; jeszcze ostatnią pieśń słuchajcie.

Ach wy grabie, moje grabie,
Grabie moje nowe....

Zaśpiewał donośnym głosem, uderzywszy zręcznie całą ręką po strunach gitary. *Grabie nowe, klonowe,* pochwycił chór jakby mimowolnie porwany. W téj chwili prawie deszcz zaczął płynąć strumieniami, lecz Wieretief dośpiewał do końca. Dzielna pieśń, zagłuszana niekiedy odgłosem grzmotu, jeszcze dzielniejszą wydawała się przy szumie i bębnieniu deszczu. Nakoniec rozległ się ostatni okrzyk chóru i całe towarzystwo ze śmiechem pobiegło do pokojów. Szczególnie głośno śmiały się dziewczynki córki Ipatowa, otrząsając z sukni swych krople deszczowe.

Burza jednak wkrótce przeszła. Otworzono drzwi i okna, pokoje napełniły się świeżym zapachem. Podano herbatę, starzy usiedli do kart, a Jan Ilicz, podług zwyczaju, przysiadł się do nich. Astachof chciał zbliżyć się do Marji, siedzącéj pod oknem z Wieretjewem, lecz Nadzieja Aleksiejewna przywała go do siebie i zaczęła z nim żywą rozmowę o Petersburgu i petersburgskiem życiu. Czyniła mu zarzuty, on bronił się ale widocznem było, że rozmowę przedłużała Nadzieja Aleksiejewna tylko dlatego, iż chciała koniecznie zatrzymać Astachofa przy sobie.

— O co to idzie? zapytał Wieretjef, powstawszy i zbliżywszy się do nich.

Idąc leniwo przechylał się z nogi na nogę: we wszystkich jego poruszeniach widoczne było jakieś zaniedbanie, jakieś zmęczenie.

— Zawsze o Petersburg, odpowiedziała Nadzieja Aleksiejewna. Włodzimierz Siergieicz nie może go się nachwalić.

— Dobre miasto odezwał się Wieretjef, lecz podług mnie, wszędzie dobrze, jak mi Bóg miły. Byle tylko dwie lub trzy kobiet, i do tego przebaczcie mi otwartość... wino, to i cóż człowiekowi więcéj żądać.

— To mnie dziwi, rzekł Astachof, czy pan rzeczywiście jesteś tego zdania, że dla człowieka ukształconego nie potrzeba nic więcéj?

— Może być... tak jest... nie przeczę, przerwał Wieretief, który mimo całéj swéj grzeczności, miał zwyczaj niedosłuchiwać drugich, lecz to nie mój wydział, ja nie filozof.

— I ja nie filozof odpowiedział Astachof, bynajmniéj nie pragnę nim być, lecz tu rzecz idzie zupełnie o co innego.

Wieretief z roztargnieniem spojrzał na siostrę, a ona lekko uśmiechnąwszy się rzekła półgłosem pochyliwszy się ku niemu.

— Piotrusiu, przedstaw nam Jegora Kapitonicza proszę cię o to.

W jednéj chwili twarz Wieretjewa zmieniła się i stała się nadzwyczaj podobną do twarzy Jegora Kapitonicza, chociaż rysy twarzy jednego i drugiego nie miały do siebie najmniejszego podobieństwa. Na takie przekształcenie Wieretjef potrzebował tylko zmarszczyć nos i opuścić usta w kątach.

— Rozumie się, i zaczął mówić głosem przypominającym zupełnie głos Jegora Kapitonicza. Matrena Matwiejewna dama surowa, gdy idzie o manjery, lecz za to małżonka wzorowa. Prawda że co tylko powiem...,

— Panie z Birulewa zaraz o wszystkiem wiedzą, domówiła Nadzieja Aleksiejewna, zaledwie wstrzymując się od śmiechu.

— Wszystko na drugi dzień wiedzą, rzekł znowu Wieretjef, z takim zabawnym grymasem i pomieszanem spojrzeniem, że nawet Astachof rozśmiać się musiał.

— Masz pan, jak widzę, wielki talent do naśladownictwa, powiedział Astachof.

Wieretjef przeprowadził ręką po twarzy i rysy jego twarzy przybrały zwykły wyraz, a Nadzieja Aleksiejewna zawołała.

— O tak! on wszystkich umie naśladować, kogo tylko zechce.., on w tem celuje.

— Naprzykład i mnie mógłbyś pan przedstawić? zapytał Astachof.

— Rozumie się, dla czegóż nie? odpowiedziała Nadzieja Aleksiejewna.

— A to bądź łaskaw przedstawić mnie. Proszę o to, bez ceremonji.

— I pan jéj wierzysz? odpowiedział Wieretjef cokolwieczek zmrużywszy jedno oko, i nadawszy swemu głosowi ton mowy Astachowa, lecz tak ostrożnie i lekko że tylko sama Nadzieja Aleksiejewna spostrzegła to i przygryzła usta. nie wierz jéj pan ona niestworzone rzeczy opowiadać o mnie gotowa.

— A jaki aktor, żebyś pan widział, mówiła daléj Nadzieja Aleksiejewna; wszelkiego rodzaju role grywa a wszystkie wybornie! On nasz reżyser i sufler i wszystko co kto chce. Szkoda że pan odjeżdżasz.

— Siostro, zanadto mnie chwalisz, odezwał się poważnie Wieretief, ciągle z tym samym odcieniem w głosie. Co pomyśli o tobie p. Astachof? poczyta cię za prowincjalistkę?

— Wiesz co Piotrusiu, przerwała Nadzieja, oto przedstaw nam jak pijany człowiek w żaden sposób nie może wydóstać chustki z kieszeni, albo przedstaw lepiéj jak chłopiec łapie muchę na oknie, a ona mu brzęczy pod palcami.

(d. c. n.)

POPISY

KONSERWATORJUM WARSZAWSKIEGO.

Będąc sam wychowańcem Instytutu najlepiéj uznać mogę jego zasługi i użyteczność, zwłaszcza iż po ukończeniu kursów, starałem się usilnie o nabranie samodzielnych poglądów na sztukę i wtym celu w różnych pracowałem kierunkach. Że popisy uczniów są potrzebne tego dowodzić nie myślę. Według mnie jednak powinny być one rzeczą dodatkową: aktem zamknięcia roku szkolnego, w którym uczniowie zdolniejsi zdają publiczne egzamina z postępów swoich. Jeżeli jednak ta rzecz dodatkowa staje się główną, natenczas popisy chybiają celu. Uczeń myśląc o owym występie publicznym na długo już przedtem, przygotowuje się tracąc czas na wypracowanie jednéj sztuki z uszczerbkiem etiud i gamm.

Z tego punktu zapatrując się, uważam także za błędne wyprowadzanie pewnéj klassy w całym składzie, i popisywanie się kwintetami na 15 głosów lub duetami na 10 skrzypiec. Na pierwszy rzut oka podobać się to może publiczności, ale cóż kiedy w gruncie nie da nam wyobrażenia o postępie uczniów—co właśnie ma być celem popisów. Takie zbiorowe wykonywanie rzeczy solowych, może być bardzo korzystne w klasie na lekcji, daje ono uczniom wprawę w takcie, cieniowaniu i frazowaniu: tam więc w obec czterech ścian, a nie na popisach jest ich miejsce.

Na tegorocznych popisach, występujących była tak znaczna liczba, że niepodobna mówić o wszystkich, zresztą w takich razach nauczyciele, nie uczniowie winni krytyce ulegać.

Rozpoczniemy nasz pogląd od klasy chóralnéj, która wykonaniem fugi Rossiniego, dowiodła starannéj pracy swego nauczyciela p. Studzińskiego. Fuga jest kamieniem probierczym dla chórów, a poszła bez zarzutu. Inne chóry takie bardzo dobrze były wykonane, radzimy tylko, aby w wymawianiu tekstu jednéj trzymali się zbieg spółgłosek. Weźmy np. wyrazy *Wieść straszna* tutaj *ść* i *str* należy koniecznie jasno wymówić. Należy także usta bardziéj otwierać i wargi wzwyczaić do większéj ruchliwości. — Przy téj sposobności niezawadzi wspomnieć, że zwyczaj w dyrygowaniu, oznaczania zgłosek a nie taktu, przez niektórych orfeonistów zagranicznych do nauki śpiewu przyjęty, jest nader do wyraźnéj wymowy pomocny.

O klasach fortepianowych (prof. Strobl i Kania) z prawdziwą przyjemnością wspominamy. Osobliwie p. Strobl rzetelne położył zasługi; uczniowie i uczennice jego klasy zarówno techniką, jak i poważnem traktowaniem dzieł wykonywanych, dowodzą sumiennéj pracy nauczyciela.

Klasa p. Kani, choć młodsza także dodatnio się przedstawiła, frazowanie jednak większe — może nawet za łagodne, wyróżnia tę klasę od poprzedniéj. Przypatrując się układowi rąk fortepianistów, dostrzegłem znaczną różnicę w metodzie pp. Strobla i Kani. Która jest lepsza, trudno osądzić, to tylko pewne że profesorowie konserwatorjum powinni się na jedną zgodzić.

Klasa skrzypcowa dwa tylko dała ustępy solowe. Z nich wynieśliśmy przekonanie, że p. Michalski ma talent. Jednakże zarzucić mu można zbyt szorstkie traktowanie koncertu z natury spokojnego — i niepotrzebne brawurowanie na sposób francuzki.

Zwracamy także jego uwagę na prawą rękę, a mianowicie na łokieć zbyt od korpusu oddalony.

Wykonanie koncertu Viottiego, dowodziło jednostronnego zapatrywania się nauczyciela. Charakter tego utworu naiwny, wymaga gry spokojnéj bez tak przesadnego atakowania nut i używania całego smyczka jak to za często czynił p. Horalek.

Ustępy zbiorowe, a mianowicie Adagio i Rondo Spohra (ze szkoły) i Sonata Bacha, jak już wyżéj powiedziałem uważam za niestosowne na popis, tutaj dodam jeszcze, że te utwory ułatwiono znacznie, rozpisaniem ich na większą ilość partji, co także na korzyść nie wypadło. Między innemi, bardzo nieestetycznie brzmiało krótkie od czasu do czasu odzywania się drugich skrzypiec w sonacie Bacha.

Klasa śpiewu (oddziały dwóch prof. Ciaffei i Pane) nietylko że nie postąpiła ale znacznie się cofnęła. Nowy nauczyciel p. Pane niczem nieuwydatnił swojéj metody, a długa nieobecność pana Ciaffeiego szkodliwie na uczniów oddziałała.

Nie widziałem w klassie śpiewu dwóch nawet osób jednakowo usta otwierających, tak samo, jak nie widziałem prawidłowego i ustalonego trzymania głów. Jedna uczennica np. miała głowę zupełnie spuszczoną, druga zbyt podniesioną, inne znów i to najczęściéj przekrzywiały je na bok, jakby dla nadania wdzięku. To wszystko przy zgarbionéj lub nadto w tył wygiętéj postawie śpiewających, nie świadczy korzystnie o ich metodzie.

Wszyscy nadto uczniowie i uczennice nauczyli się na *piano* przymykać usta, kiedy właśnie przeciwnie czynić wypada. Głos cichy przy otwartych ustach jest zawsze jasny i jednostajny, tak że piano w najdalszym zakątku sali da się słyszeć; przeciwnie usta zamknięte zatrzymują głos wewnątrz, zmieniają jego brzmienie, i czynią go zdaleka niedosłyszalnym. Zapomniano także o lekkim atakowaniu głosu na samogłoskach, a w miejsce tego widziałem przez niemiejętne wydobywanie jego, poruszanie ramionami.

Wyraźna wymowa znikła z powodu leniwego poruszania warg... Nadto początek każdéj frazy zaczynał się *forte*, a kończył prawie bez głosu. Robiło to wrażenie lotu młodego ptaszęcia, spadającego na ziemię i porywającego się... aby znowu upaść za chwilę. Nakoniec cieniowania zupełnie nie było i być nie mogło, skoro akompanjament fortepianu od początku do końca, trzymany był w jednostajnem *fortissimo* głuszącem nieraz śpiewających.

O klasie wiolonczeli tyle tylko powiedzieć mogę, że za wcześnie wystąpiono z nią na popis.

Pochopność ta profesora szkodliwie może na przyszłość uczniów oddziałać. Nieraz oklask tak łaskawie przez publiczność naszą udzielany, wielką jest do dalszéj pracy ucznia przeszkodą.

Oklask zachęty uważa on za oklask zasługi: zdaje mu się iż jest już artystą i odpycha życzliwe rady nauczyciela jakoby już zbyteczne.

DROBNE SZCZEGÓŁY

Z ŻYCIA MUZYKÓW.

Był czas, że *Jan Jakób Rousseau* utrzymywał się z przepisywania nut i dostawał za małą kartkę dwa, za wielką cztery, za cały arkusz sześć sous. Hrabia Clermont, książę krwi królewskiéj, dla którego Rousseau skomponował parę drobiazgów, chciał mu się za to odwdzięczyć, ale nie wiedział jak to uczynić. Poradzono mu aby dał Rousseau'wi jakie nuty do przepisania i aby mu za to hojniéj niż zwykle zapłacił. Książę usłuchał téj rady i prosił Roussa o przepisanie rozmaitych nut. Gdy robota była skończoną, Książę posłał przepisywaczowi dwadzieścia pięć luidorów. „Wolne żarty." rzekł z uśmiechem filozof genewski, gdy służący księcia przyniósł mu powyższą sumę. „Należy mi się tylko pół luidora." Zatrzymawszy tę kwotę, oddał resztę księciu i ani wspomnieć sobie nie pozwolił o przyjęciu ofiarowanéj summy.

Dwóch ludzi przechadzając się po ulicach Londynu, usłyszało że w jednym domu ktoś bardzo źle i błędnie grał kompozycje sławnego *Abla*.

— Ach, rzekł jeden, kto też to tak męczy Abla?

— Zapewne Kain, odpowiedział towarzysz.

KORESPONDENCJA.

Pani Julji F: książki dla dzieci o których wspomniano w liście kosztować będą rs. 1. kop: 20.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Druk. K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066*k*). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek

PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIEŃ MŁODEJ PANNY

ułożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

— To okropne! wołała zrazu, jakże ty możesz tak sama jedna chodzić po mieście? Ubliżą ci, pokrzywdzą, najadą na cię końmi, zepchną cię z chodnika!

Mówiąc to kryła oczy w dłoniach z żalem i trwogą. Kiedy kilkanaście odbyłam już wycieczek a matka moja przekonała się, że mogę uniknąć tego czego się tak bardzo dla mnie obawiała, zaczęła znowu troskać się o mą dobrą sławę.

— I cóż o tobie świat powie? Jakie mniemanie powezmą o tobie ludzie, widząc cię tak ciągle zbijającą bruk miejski i samą jedną na ulicach?

Gdy wreszcie rzeczywistość pokazała, że nie mogę wyrzekać się powszedniego chleba dla nagany i podejrzenia ludzkiego przypuszczając nawet, że te dotknąć by mię mogły, czego się nie spodziewałam matka moja zamknąwszy w sobie obawę o mój honor, zaczęła drżeć o moje zdrowie.

— Zaziębisz się, zapracujesz się, mówiła i otulała mię futrem, okręcała szalami, w obec siebie kazała wkładać futrzane buciki, a ileż razy gdy brałam już za klamkę aby wyjść do przedpokoju, zwracała się do mnie pośpiesznie i objąwszy mię za szyję okrywała twarz moją gorącemi pocałunkami. Zdarzało się, że przy tem niemem pożegnaniu, łzy perliły się w jéj oczach, rumieńce żalu ślizgały się po twarzy, ale też parę razy czoło jéj nagłemi zasnuło się promieniami, na ustach zawisł piękny uśmiech, spojrzała na mnie z pogodą i chlubą. Wtedy zdawało mi się, że anioł spokoju wstępował w pierś moją i pieścił mi serce puszystem skrzydłem; skrzydła też czułam u ramion, nucąc zbiegłam ze wschodów i lekkim krokiem przebiegając ulice, okrywałam mury starego grodu spojrzeniami, w których tkwiła pogoda odbita z rozjaśnionego wzroku méj matki.

Kiedy czytywałam jéj na głos spostrzegałam nieraz, że przestawała mię słuchać i zapadała w zwykłą sobie posępną zadumę, ale daleko częściéj czułam wzrok jéj utkwiony w moją twarz i uwagę na mój głos pilnie zwróconą. Zdarzało się że przez parę godzin nie przerywała mi czytania ani jednem słowem, ale bywało także, iż kładła rękę na książce i zwolna, łagodnie zaczynała rozmawiać ze mną o jéj treści i innych wypływających z niego przedmiotach. Wtedy nie mogłam nie podziwiać pięknego jéj umysłu, pojętnego i ozdobionego wielu wiadomościami lubo na chybił trafił uzbieranemi, miłéj wymowy, która sączyła się z jéj ust płynnym i słodkim potokiem zdrowego sądu, nareszcie i ciepłego uczucia z jakiemi wyrokowała o ludziach i ich sprawach. Nie dziwiło mię wcale, że wiele pojęć i zdań swoich nie umiała zastosować do siebie samej tak, aby rządziły jéj życiem, bo wiedziałam jakie przyczyny osłabiły w niéj wolę i w piękną jéj duszę wlały jad próżności i miłości połysków, ale uwielbiałam w niéj tę żywotność natury przez jaką przymioty jakie posiadała, uratowały się z toni ogólnéj i czyniły ją jeszcze tak dobrą i miłą. Stopniowo spostrzegałam, że posępność i bolesne pognębienie w jakie na czas jakiś zapadała, zaczynało ustępować przed łagodnym smutkiem i rzewnością, niewypowiedzianie pociągającym wyrazem oblekającym jéj blade i mimo lat i trosk piękne lice. Miałam więc nadzieję, pewną już byłam nawet, że czas uleczy rany mojéj matki, spokój jaki ją otaczał wzmocni jéj siły, miłość i starania nasze, prędzéj czy późniéj wynagrodzą jéj te połyski nad których utratą tyle bolała.

Wyrażam się *nasze* dla tego, że miałam przy sobie dwa serca takie o jakie nie łatwo śród ludzi, dwa serca tak otwarte dla mnie, kochające i wylane, że nie wiedziałam jak dziękować losowi, który mię tak szczęśliwą i bogatą uczynił. Binia była w rzeczywistości głową i naczelną osobą naszego domu. Czerstwa i zdrowa mimo lat podeszłych, związana z nami tyluletniemi stosunkami i węzłami, wzięła na siebie cały ciężar domowego gospodarstwa, pilnowała kuchni, nosiła przy sobie klucze, brała ode mnie codzienny mój zarobek i przerabiała go na byt porządny niemal dostatni. Przywiązanie do niéj mojéj matki zdawało się wzrastać w nieskończoność: rozmawiały z sobą długiemi godzinami gdy mnie w domu nie było, a kiedy wracałam Binia troskliwie czuwała, abym po zimowéj wędrówce miała do rozgrzania się ogień na kominku i zawsze gotowy posiłek. Potém zasiadła razem z nami z pończoszką lub szyciem w ręku, uczestniczyła w naszych czytaniach a często wieczorami, składając robotę na kolanach, wysnuwała z przyszłości swojéj i tego co ją za młodych lat otaczało, te różne opowieści, któremi tak mię zachwycała w dzieciństwie, a które w jéj ustach nabierały pełnéj wdzięku prostoty i poezji.

Emilka zjednoczyła się ze mną zupełnie uczuciem, pojęciem życia i dążnościami. Był to blady i cichy ale ciepły i łagodny promyk naszego domu. Zawsze gotowa do oddania wszelkiéj przysługi, zawsze zadowolona z tego co ją otaczało, rada wszystko we wszystkich uwielbiać i kochać, rada tulić się do każdéj piersi, która ją przygarnąć do siebie chciała, przynosiła w ofierze matce mojéj najczulsze starania i głęboki szacunek, mnie wierną, pojętną, do najwyższéj tkliwości posuniętą przyjaźń. Nie posiadała się także z radości, że pierwszy raz odkąd w świat wyszła jako dorosła panna przestała się nudzić. Z wyborem pracy jakiéj się oddać miała nie szło jéj zrazu dobrze. Zaczynała haftować, szyć bieliznę, uczyć się rękawicznictwa, toczyć nawet, a żadne z tych zajęć nie przypadło do jéj smaku i skłonności. Dla jednych nie miała dosyć cierpliwości, na inne nie starczyło jéj sił fizycznych. Nakoniec przypadek dobrze jéj posłużył.

W przeciwległéj naszemu mieszkaniu kamienicy obok starca, którego wnuczka była nauczycielką śpiewu, i poniżéj szewca po całych dniach wywijającego ręką, ubraną w biały rękaw i uzbrojoną szydłem, z pierwszym dniem wiosny otworzyły się okna, a my zobaczyłyśmy przez nie kilka osób mężczyzn i kobiet, literalnie zagrzebanych w stosach ksiąg nieoprawnych i oprawnych; pudełek, kopert, różnych papierów i kartonów.

— Zdaje mi się że tam mieszka introligator, rzekła Binia patrząc na otwarte przeciwległe okna. Emilka poskoczyła ku oknu, popatrzyła wstronę wskazaną i rzekła.

— Jutro tam pójdę.

Jakoż poszła tam nazajutrz i znalazła rodzinę złożoną z ojca, syna i dwóch córek, którzy wszyscy trudnili się razem rzemiosłem introligatorskiem. Podobała się jéj ta rodzina i zaraz poprosiła aby przyjęto ją na uczennicę. Zrazu wzdragano się trochę przez obawę *utraty chleba*, ale Emilka posiadała nieco pieniędzy, ofiarowała za naukę dość hojną zapłatę i prośba jéj została przyjętą. Odtąd codziennie chodziła na kilkogodzinne lekcje do przeciwległéj kamienicy, przynosiła do domu robotę i polubiła ten rodzaj zajęcia może dla tego, że wymagał nietylko machinalnéj zręczności, ale i smaku i dawał do czynienia z książkami, które Emilka coraz więcéj miłować zaczynała. Wielką była jéj radość gdy po kilku tygodniach wykleiła dla mojéj matki dość ładne pudełeczko, dla Bini igielnik a mnie oprawiła zeszyt z nutami, a większą jeszcze kiedy po miesiącu naczelnik warsztatu zapłacił jéj kilkanaście złotych za zrobienie bardzo gustownéj bombonierki. Tak więc życie nasze stawało się coraz spokojniejsze, coraz więcéj zapełnione i zabezpieczone od niedostatku, a było przy tem bardzo jednostajne. Gości nie przyjmowaliśmy wcale i w przeciągu trzech może miesięcy, jeden tylko w tym względzie zdarzył się wyjątek. Pewnego poobiedzia przyszedł do nas Władysław, dowiedział się on od kogoś że przybyłyśmy już do miasta i wyszukał nasze mieszkanie. Byłyśmy mu bardzo rade, bo czułyśmy dla niego szacunek i wdzięczność. Niepodobna było jednak nie postrzedz w nim pewnéj zmiany. Nie przestał być mownym i ożywionym, ale nie był ani tak swobodnym ani tak szyderskim jak pierwéj. Zdawało się, że zaczął zapatrywać się na wszystko z rzewnéj strony i tam gdzie wprzódy dopatrywał śmieszności lub niedorzeczności tylko, teraz szukał dramatu. Przytem czoło jego utraciło tę pogodę jaka je cechowała dawniéj, i zasnuło się niepochwytną jakąś mgłą niby ciężkich rozmyślań lub uczuć. Kilka razy postrzegłam także, iż nie ciągle zachowywał dawniejszą pewność siebie i chwilami objawiał zmięszanie, które daną chwilą nie dawało się usprawiedliwić, ale musiało wynikać z jakiéjś wewnętrznéj niepewności co go dręczyła bezustannie. Przepędził z nami parę godzin, mówił wiele o rozmaitych przedmiotach, ale o Zofji nie wspomniał ani razu. Dopiero żegnając mnie i Emilkę wymówił głosem, który pomimo że chciał uczynić obojętnym, dźwięczał miękko i smatnie.

— Może panie zechcecie odwiedzić panią Zofję.. ona pędzi tu życie tak samotne...

A gdy odpowiedziałyśmy, że chętnie to uczynimy i że nawet uczyniłybyśmy już to oddawna, gdyby nie brak czasu przy nowych zajęciach, dał nam kartkę z jéj adresem. Adres ten wskazywał skromny domek położony na jednem z przyjemnych, ale bardzo miernéj zamożności przedmieść. Domyślałam się ztąd, że Zofja nie musiała odzyskać swego majątku i że położenie jéj było jeśli nieopłakane, to przynajmniéj bardzo trudnem. W parę dni potem w niedzielę, wybrałyśmy się z Emilką w odwiedziny do Zofji. Matka moja sama zachęcała nas do téj wycieczki, szczerze współczując nieszczęśliwéj młodéj kobiecie. Znalazłyśmy Zofję w ładniutkim ale ciasnem mieszkanku o trzech małych pokojach, i z jedną służącą, która pełniła około niéj wszystkie posługi. Przyjęła nas uprzejmie ale bez

serdeczności. Powiedziała nam u wstępu że nie spodziewała się abyśmy do niéj przyszły, a gdyśmy ją zapytały o powód téj wątpliwości odpowiedziała żywo:

— Powinniście się same domyśleć tego powodu. Jesteście młode i wolne a chociaż nie posiadacie funduszu, ale same zarabiacie sobie na byt i mieszkanie pod skrzydłem osoby starszéj i poważnéj. Wszystko jeszcze przed wami, możecie powychodzić za mąż i stać się szczęśliwemi i poważanemi niewiastami. A ja... jestem kobietą zgubioną... wiem o tem dobrze...

Kiedy chciałyśmy ją pocieszać i przekonywać, że może także utworzyć sobie życie podobne naszemu, jeżeli już nie szczęśliwe to przynajmniéj spokojne i znośne, urwała nagle rozmowę o tym przedmiocie i zaczęła mówić o rzeczach obojętnych. Była skryta, zamknięta w sobie i wyraźnie unikała wszelkich zwierzeń się i poufałości. Uważałam jednak, że lepiéj wyglądała jak kiedy ją po raz ostatni widziałam. Słaby rumieniec zaczynał przebijać się na jéj alabastrowych policzkach, a oczy miały bardziéj jednostajny połysk.

Doskonała jéj piękność nabrała przez to nowego blasku i trudno było w istocie wyobrazić sobie więcéj piękną i harmonijną powierzchowność kobiecą. W krótkich wyrazach i bez żadnych objawów gniewu lub żalu powiedziała nam, że Henryk najformalniéj wyparł się przyjęcia jéj posagowéj summy, że brat jéj Lubomir pisał do niéj z Paryża, iż żadnego nie posiada dowodu, że oddał je szwagrowi i że pomimo to ona zaraz po powrocie brata do kraju, postanowiła wytoczyć panu S. proces o swój majątek, w czem naturalnie dopomagać jéj będzie p. Władysław N. jako najlepszy w W. prawnik i jedyny éj przyjaciel.

Ostatnie słowa wymówiła zupełnie pewnym głosem, bez najmniejszego wahania się lub zmięszania i patrząc na nas zupełnie śmiałym otwartym wzrokiem. Emilka przy wzmiance uczynionéj przez Zofiję o nieuczciwym postępku Henryka, zarumieniła się silnie i łzy jéj stanęły w oczach. Zofja spostrzegła to i wyciągnęła do niéj rękę:

— Tyś wcale niewinna temu, rzekła; wszak on i ciebie pokrzywdził...

Opuściłyśmy Zofją z przykrem uczuciem w sercach. Jakkolwiek była ona z nami uprzejmą ale nie dość serdeczną, czułyśmy że nie należała do nas i wcale należeć nie chciała, że miała w sobie coś z czem taiła się, co ją nie dopuszczało do cieplejszych z nami stosunków, co nakoniec stało między nią a nami, między nią a całym może światem...

O kilkadziesiąt kroków od domu z któregośmy wyszły, spotkaliśmy śpiesznie idącego ulicą Władysława. Postępował w stronę mieszkania Zofji, a tak był zatopiony w myślach i zapatrzony w ziemię, że minął nas wcale nie spostrzegłszy. Uważałam że szedł ze spuszczoną głową i że w wyrazie twarzy jego był widoczny odcień troski, połączonéj z głębokim namysłem.

Po téj krótkiéj przerwie w jednostajności dni naszych, czas upływał znowu nadanym mu przez nas torem. Wiosna stawała się coraz piękniejszą; strumienie w ogrodach miejskich mruczały śród gęstéj już zieleni; góry stroiły się codziennie w coraz gorętsze blaski; błękitna rzeka odbijała w przezroczystych falach, niebo bez chmury i wieżyce świątyń złotemi krzyżami wzbijające się pod obłoki.

Matka moja nie mogła dłużéj oprzeć się pokusie wiosny, i parę razy w towarzystwie mojem i Emilki wyszła na przechadzkę. Mieszkanie jednak nasze daleko było położone od ogrodu i wszelkich miejsc sposobnych do przechadzek, a uważałam że przebywanie ulic które nas z miejscami temi dzieliły, nużyło moją matkę fizycznie i moralnie. Wychodziła też bardzo rzadko i coraz częściéj zaczęła uskarżać się na bóle głowy, spowodowane brakiem powietrza i ruchu.

Złożyłyśmy więc walną naradę z Binią i Emilką na któréj postanowionem zostało, że musimy wynaleść sobie inne mieszkanie położone w bardziéj otwartem miejscu, pomiędzy ogrodami i w pobliżu rzeki jeśli by to być mogło, takie słowem któreby dostarczyło mojéj matce możności używania świeżego powietrza i ruchu, bez narażenia ją na chodzenie po bruku ulic i przykre dla niéj wystawianie się na widok publiczny.

Jak powiedziałam tak się i stało. W parę tygodni po walnéj naradzie, zostałyśmy ze wszystkiemi naszemi sprzętami i manatkami przeniesione na jedno z przedmieść miejskich, do milutkiego domku o pięciu pokoikach, otoczonego rozkosznym ogródkiem pełnym grusz, jabłoni, pachnących groszków i rezedy, i ozdobiono zielonemi żaluzjami przy niewielkich oknach, o szybach przezroczystych jak kryształ. Naokoło stały tam podobneż domki podobnemi poprzedzielane ogródkami, rzeka płynęła tak blisko, że z ganku można widzieć jéj pas błękitny, a wieczorem słuchać jéj szum przy otwartych oknach. Wrzawa i turkot miejski wcale tam nie dochodziły, a za to od gór podnoszących swe szczyty po nad dachy domków i zieleni ogródków, wiało zdrowe ożywcze powietrze. Błękitne nasze sprzęty ładniéj wyglądały przy obfitych promieniach słońca, które bez przeszkody murów wpływały do mieszkania, a fortepian mój wspaniale królował w cokolwiek przestronniejszym i wykwintniejszą opatrzonym posadzką bawialnym pokoju.

Wprawdzie mieszkanie to kosztowało drożéj niż pierwsze, ale wydatek ten poniosłyśmy z małéj summki, jaka pozostawała nam jeszcze ze sprzedaży moich klejnotów, a przytem dochody nasze zwiększyły się, bo i Emilka zarabiała już trochę pieniędzy i ja otrzymałam jedną jeszcze lekcję muzyki w poobiednich godzinach. Tak ja jak ona w skutek oddalenia się od środka miasta, musiałyśmy w wycieczkach naszych na lekcje i do warsztatu daleko dłuższe odbywać pochody, ale byłyśmy przecie młode i zupełnie zdrowe, przychodziło więc tylko raniéj trochę wstawać i w czasie deszczu staranniéj zaopatrywać się w parasole.

Opuszczając pierwsze nasze mieszkanie rzuciłam pożegnalne spojrzenie na okna przeciwległéj kamienicy, w których nawykłam była widywać codziennie siwowłosą głowę starego urzędnika, rękę z szydłem szewca, stosy kartonów introligatora i błyszczące guziki studenta. Czułam już była pewną przychylność dla tych nieznanych ludzi o których wyobrażałam sobie, że postępowali wraz ze mną po téj drodze oblanéj światłem i napełnionéj trudami o jakiéj to śniłam niegdyś... Ale i w nowem naszem siedlisku nie zbrakło na podobnych sąsiadach. W jednym z pobliskich domów, mieszkała jakaś podeszła już kobieta z kilkorgiem wnucząt, które codziennie biegły ku miastu udając się do szkół: w drugim od rana do nocy szyły na maszynach szwaczki, w trzecim jakiś młody artysta grywał na fortepjanie w nocnych godzinach, z czwartego rozlegał się monotonny huk tokarni, w piątym średniego wieku literat siadywał na ganku z książką w ręku i ołówkiem, którym kreślił coś na marginesach, a młoda żona jego błyskała ładną i świeżą twarzą, to ukazując się w otwartym oknie z małem dzieciecięm na ręku, to pielęgnując kwiaty w ogródku.

Były to wszystko osoby obce mi i nieznane, mniéj jednak wewnętrzne życie tych otaczających mię domków zajmowało mię wielce; spostrzegłam w nich nieraz rzeczy pobudzające umysł do głębokich uwag, albo wyobraźnię do rojenia wesołych, rzewnych lub poetycznych obrazów.

Matka moja całe prawie dnie przesiadywała na ganku oplecionym dzikim winogradem, albo przechadzała się po ogródku; była zupełnie zdrowa i coraz spokojniejsza. Wszystko więc szło dobrze i lato dochodziło do połowy.

Pewnego dnia gdy po obiedzie wszystkie razem siedziałyśmy w bawialnym pokoju i matka wybierała kwiaty, które układała w bukiet, ja czytałam głośno, Emilka z kartonów wyklejała tekę, Binia zajęta była robotą, tuż pod naszemi oknami rozległ się turkot szybko nadjeżdżającego powozu. Potem tak prędko, że nie zdołałyśmy wyjrzeć przez okna, otworzyły się ze stukiem drzwi bawialnego pokoju, i stanął w nich wysoki lokaj ubrany w piękną liberję. Wymienił nazwisko mojéj matki i zapytał czy tu znajduje się jéj mieszkanie, a po otrzymaniu twierdzącéj odpowiedzi cofnął się do przedpokoju. W parę sekund zaszeleściały jedwabie i do pokoju wbiegła młoda kobieta w białym kapelusiku i sukni jasnéj barwy o długim szeleszczącym ogonie. Emilka wydała okrzyk radości i rzuciła się w objęcia przybywającéj.

Była nią Zenia.

XIX.

O kilka kroków od progu zatrzymała się, szybkim spojrzeniem orzuciła pokój i zdziwienie błysnęło w jéj oczach. Jakkolwiek musiała wiedzieć o tem żeśmy straciły majątek, nie spodziewała się zapewne ujrzeć nas w tak skromnem mieszkaniu. Ze zręcznością jednak kobiety światowéj, powściągnęła to pierwsze wrażenie i witała nas z serdeczną radością.

Często zdarza się widzieć, że młode panny zaledwie przystojne, a niekiedy nawet prawie brzydkie, po wyjściu za mąż stają się kobietami bardzo zajmującemi i powabnemi. Jest to skutek odbicia się na ich powierzchowności liczniejszych i głębszych poruszeń duszy, przy samodzielnem życiu, a często i tych tajemnych marzeń i westchnień serca, które z tęsknotą i obawą pyta siebie, czy nie ominęło dróg piękniejszych nad tęna którą weszło omackiem i bez dobréj świadomości tego co czyniło. Do uzupełnienia téj przemiany brzydkiéj panny na pełną powabu i wdzięku mężatkę, dokłada się biegłe poznanie świata i jego zwyczajów, strój, pewność siebie, wprawa towarzyska i odrobina zalotności najczęściéj.

Wszystko to dawało się odrazu spostrzegać w Zeni. Dawniéj powierzchowność jéj zaledwie mogła ujść miana brzydkiéj, a ratowała ją odeń tylko zręczność ruchów i żywość wrodzona, a i ta okazywana tylko w poufałem kółku. Dziś także nie była piękną, ale stała się ponętną, zajmującą, świetną nieledwie.

Kibić jéj wyszczuplała, cera zbyt rumiana dawniéj, pobladła nieco i nabrała przezroczystości. Światło szare jéj oczów płonęło blaskiem rozbudzonego życia i pojętności, wargi za szerokie i za grube zabarwiły się najpiękniejszą purpurą i mieniły się uśmiechami najrozmaitszych odcieniów wesołości prawie naiwnéj, figlarnego dowcipu, tęsknéj rzewności. W rozmowie wznosiła oczy w górę jak ktoś co tęskni, modli się lub namyśla, a ruch ten który umyślny i niejako wyuczony mógłby być śmiesznym, w niéj mimowolny i z poruszeń wrażliwéj duszy pły-

nący dodawał jéj fizjonomji osobną a pełną ponęty cechę. Na te błyszczące i co chwilę wznoszące się oczy, można było patrzyć z zajęciem i domyślać się co one ścigały tam w górze. Marzenia, żale, poezję czy też tajemne tęsknoty niezadowolonego w porywach swych serca?

Parę godzin zeszło nam jak mgnienie oka w towarzystwie ożywionéj i światowéj młodéj kobiety. Wracała z zagranicy gdzie przepędziwszy kilkanaście miesięcy, stęschniła się do kraju i do swoich i przyjechała aby stale w W. zamieszkać.

— Na wieś nie pojadę, mówiła chyba na jakie parę tygodni tylko, boję się wsi jak czysca, bo pamiętam jakiem się tam nudziła będąc panną.

Spojrzała nareszcie na zegarek i zrywając się z miejsca zawołała.

— Ach, jakżem się tu zapomniała. Poczciwy mój Michał będzie na mnie czekał z herbatą, a przytem tyle jeszcze mam do roboty z zarządzeniem mego nowego mieszkania. Zwróciła się do siostry i rzekła:

— Jedziesz ze mną Emilciu? nieprawdaż? włóż-że kapelusz i okrycie.

Emilka uścisnęła ją ale przecząco poruszyła głową.

— Jakto? nie pojedziesz ze mną? zawołała Zenia ze zdziwieniem i żalem.

— Nie mogę, odpowiedziała Emilka wskazując na stos kartonów leżących na stole, przyrzekłam wykończyć pewną robotę na jutro rano, a i tak straciłam parę godzin z powodu twego przybycia i będę musiała pracować dziś do późnéj nocy.

Zenia szeroko otwartemi oczami patrzyła na siostrę i na kartony.

— Pracować... do późnéj nocy... wymówiła po chwili, jakby nic a nic nie rozumiejąc tego wszystkiego, cóż to takiego robisz Emilciu i komu jesteś obowiązaną wykończać robotę na oznaczoną godzinę?

Emilka uśmiechnęła się i biorąc siostrę za rękę rzekła.

— Kochana Zeniu, w czasie twéj nieobecności zaszło wiele rzeczy o których nie wiesz tem bardziéj, że zmieniając często miejsce pobytu rzadkie tylko listy ode mnie otrzymywać mogłaś. Było mi bardzo źle w domu brata, opuściłam go więc a ponieważ nie posiadam żadnego prawie funduszu, zostałam rzemieślniczką i mam nadzieję wkrótce zarabiać tyle, iżby mi wystarczyło na porządne utrzymanie... Oczy Zeni otworzyły się jeszcze szerzéj, głęboki rumieniec pokrył jéj policzki.

— Ty rzemieślniczką? wymówiła patrząc na siostrę, ty Emilko pracą masz zarabiać na życie w czasie, gdy ja tyle tracę na zbytki?

Źrenice jéj zwilgotniały i zarazem uśmiech wykwitł na ustach. Tak stała parę sekund nie spuszczając wzroku z twarzy siostry, aż nagle z głośnym śmiechem upadła na fotel.

— Siostra moja rzemieślniczką! wołała; siostra moja ma zarabiać sobie na życie pracą rąk własnych! Doprawdy! zdaje mi się że śnię, i nie wiem do czego czuję większą ochotę do śmiechu czy do płaczu!

I śmiała się w istocie, ale zarazem dwie łzy spływały po jéj policzkach.

— Cóżby na to powiedziała nasza matka gdyby żyła, mówiła daléj, co powie na to Michał, który gdyby miał miljony miljonów, sądziłby jeszcze że to dla mnie zamało! Co pomyśli o tem cała familja nasza, świat cały..... Zerwała się i podbiegając do Emilki dodała cichym i smutniejszym głosem.

— A serce moje Emilko, co powié na to? Czy sądzisz że ja nie mam serca, że mi nie stać na tyle serca, aby módz podzielić się bogactwem z jedyną siostrą? Jestem pewna że posądziłaś mię, iż zupełnie zepsułam się w świecie i nie kocham ani ciebie ani nikogo. Otóż mylisz się; jestem co prawda próżną i płochą kobietą, ale doprawdy nie jestem złą ani egoistką. Ja egoistka, mój Boże! ja co czuję w sobie tyle zapasu uczuć niezużytych, co tak pragnę kochać i być kochaną! Ja egoistką, i oto posądziła mię siostra? Mój Boże! to śmieszne doprawdy... i bardzo bolesne.

Śmiała się trochę, mówiąc to, ale zarazem płakała już na dobre. Przez cały czas Emilka stała ze spuszczonemi oczami i rękami obwisłemi na suknię. Widziałam z wyrazu jéj twarzy, że szukała w myśli odpowiedzi, jaką by dać mogła siostrze a nie znajdowała jéj. Uważałam także iż scena pomiędzy dwoma siostrami przykre wywierała wrażenie na moją matkę. Obawiała się może aby Emilka do któréj już się była przywiązała nie opuściła nas, a zarazem podzielała zapewne w duchu zdanie Zeni o niestosowności oddawania się rzemiosłu dla panny dobrze urodzonéj, i któréj siostra jest tak bogatą i świetną panią.

Chcąc więc temu wszystkiemu na dziś przynajmniéj koniec położyć, wzięłam rękę Zeni i rzekłam.

— Moja droga Zeniu! Siostra twoja wspominała zawsze o tobie z tęsknotą i miłością, i ani myślała nigdy posądzać cię o egoizm lub brak serca. Ale drogi wasze rozeszły się; tyś się stała panią światową i oddaną zabawom, ona była dziewczyną opuszczoną, ubogą oddaną na łaskę i niełaskę brata, którego dom nie był dla niéj wcale rajem. Nic więc dziwnego, że zapragnęła zatrudnienia, któreby jéj dało cel życia i byt niezależny. Teraz kiedyś ty powróciła w rodzinne strony i dom swój dla niéj otwierasz, może odmieni postanowienie i opuści pracowite życie, jakie rozpoczęła przy nas dla łatwego, które znaleść może obok ciebie... Nie przynaglaj ją jednak, niech zastanowi się i namyśli...

— Niepotrzebuję zastanawiać się i namyślać, przerwała mi Emilka która z podniesioną już głową i wyrazem postanowienia w pogodnych błękitnych oczach zbliżyła się do nas, niepotrzebuję zastanawiać się i namyślać kochana moja Zeniu, powtórzyła czule ujmując ręce siostry, nie gniewaj się na mnie i nie bierz tego za obojętność lub brak przywiązania do ciebie, ale nie zamienię życia które rozpoczęłam wraz z Wacławą na to, jakie przy tobie znaleść mogę.... Znam dobrze ten świat w którym żyjesz, urodziłam się w nim i wychowałam i wcale on mię niepociąga ku sobie, bo nie znalazłam śród niego ani szczęścia, ani nawet spokoju... znalazłam tylko osamotnienie, znudzenie, pustkę serca i głowy nie zajętych niczem. Nie jestem stworzoną na świetną damę.... nie mam po temu ani wdzięków, ani dowcipu, ani majątku. Jestem ubogą, nieładną, przeznaczoną do istnienia w cieniu i mierności, nie chcę więc porzucać miejsca mi właściwego, a występować na widownię śród któréj byłabym zawsze smutną i zawstydzoną..

Gdy Emilka to mówiła Zenia patrzyła na nią oczami, w których migotały naprzemian żal, zdziwienie i pojętność. Pierwszy nakoniec przemógł i załamując drobne ręce na jedwabnéj sukni zawołała:

— Tak, tak, rozumiem teraz dobrze że mię nie kochasz, że gniewasz się na mnie za to, iż tak długo zaniedbywałam cię, bawiłam się i podróżowałam i nie myślałam o tobie więc utraciłam serce siostry! Więc przez siostrę nawet nie mogę być kochaną!

Przyłożyła batystową chustkę do oczu i głośno prawie płakać zaczęła, natenczas Emilka usiadła przy niéj, objęła ją jak dziecko i mówiła jéj długo o smutnych kolejach jakie przechodziła w czasie jéj nieobecności, o tęsknocie i znudzeniu jakich pastwą była mieszkając w domu brata osamotniona i bezczynna, o moralnem znękaniu i zniechęceniu jakie ją było ogarnęło, gdy sądziła że nie ma już dla niéj innéj przyszłości, i prawdziwéj uldze jakiéj doznała gdy przekonała się, że może być jeszcze komukolwiek miłą i do czegokolwiek zdolną, o jednostajnych i spokojnych dniach jakie pędziła przy nas, o czułem przywiązaniu jakie dla nas powzięła i jakim my ją otaczaliśmy wzajem. Zakończyła zaś powtórnem zapewnieniem Zeni, że kocha ją bardzo i szczerze ale zarazem i oświadczeniem,że lęka się tego świata w którym ona zostaje, a śród którego było jéj tak źle i pusto, że w matce mojéj i we mnie znalazła drugą matkę i siostrę, że za nic w świecie nas nie opuści i nie porzuci tego cichego bytu jaki przy nas prowadzi i téj skromnéj pracy na jaką starczą jéj zdolności, bo teraz już z prawdziwą pociechą w sercu myśli, iż przy końcu dni swoich będzie mogła powiedzieć sobie, że życie jéj spłynęło niezupełnie bezużytecznie, że była miłą komuś kto dla niéj był bardzo dobrym i pracowała według sił i zdolności wymagając od życia tego tylko co otrzymać mogła, a nie pragnąc zarozumiale tego do czego wyraźnie nie była przeznaczoną.

Z prawdziwą radością i rozrzewnieniem słuchałam téj mowy Emilki, i podziwiałam jak prędko ta cicha i czysta istota,doszła do wielkiéj odwagi serca i pełni dojrzałości umysłowéj.

Zenia przestała płakać i słuchała ją także z wielką uwagą. Na ożywionéj i pojętnéj jéj twarzy znać było walkę różnych cisnących się do jéj głowy sprzecznych myśli. Gdy Emilka przestała mówić, wpatrzyła się w przestrzeń zamyślonym wzrokiem i potrząsając głową machinalnie wymówiła parę razy: Nie pojmuję dobrze tego wszystkiego! Potem oparła głowę o poręcze fotelu, wzniosła oczy w górę i w czasie gdy matka moja pieściła i całowała Emilkę, która przytuliła się do niéj, siedziała nieruchoma w głębokim pogrążona namyśle. Patrzyłam na nią i z ruchoméj gry jéj wyrazistéj zadumanéj twarzy, odgadywałam wikłające się i rozplątujące w niéj pasmo uczuć i myśli, we wzniesionych jéj źrenicach przesuwały się cienie i światła na których snuły się tysiączne wspomnienia i porównania. W końcu ocknęła się z zamyślenia i niby w odpowiedź na własne myśli wymówiła z cicha: Kto wie czy nie pojmuję? kto wie co lepsze? Zamglony potem wzruszeniem wzrok zwróciła na siostrę i powstając rzekła:

— Rób jak chcesz Emilko, nie jestem do tego stopnia szczęśliwą, abym cię przemocą nakłaniać miała do takiego jak mój sposobu życia. Żyj jak chcesz.... probuj téj nowéj drogi, która mi zrazu tak dziwną się wydała, a może postępując nią dojdziesz do tego, do czego my światowe kobiety nigdy bodaj nie dochodzimy....

Rzekłszy to z prawdziwą dobrocią i czułością serca, przyklękła przed moją matką dziękując jéj za opiekę i pomoc udzieloną jéj siostrze. Długo trwające jednak rozrzewnienie nie leżało w jéj naturze. Porwała się z klęczek i ze śmiechem uderzyła mię lekko po ręku mówiąc, że nie lubi mię, bo Emilka więcéj mnie teraz kocha niż ją, a potem uściskała mię tak serdecznie, jak gdybyśmy obie były jeszcze młodemi i swawolnemi dziewczętami. Nie chciała odjechać dopóki nie dałyśmy jéj uroczystego przyrzeczenia, że nazajutrz cały dzień przepędzimy u niéj co uczyniłyśmy z tem większą łatwością, że miało to być niedziela.

Nazajutrz tedy około po łudnia, otworzyły się przed nami drzwi obszernego pełnego najwytworniejszego zbytku mieszkania Zeni. Wybiegła na-

przeciwko nas z otwartemi rękami, śmiejąca się, uradowana, ustrojona w śliczny niebieski szlafroczek i białą koronką narzuconą na włosy. Mimowoli pomyślałam, że przytym jéj wykwintnym stroju i całem bogatem przybraniu salonu, ciemne nasze wełniane suknie dziwnie wyglądać musiały,Ta myśl moja odbiła się także w oczach Zeni, orzuciła wejrzeniem ubranie siostry i westchnęła. Emilka spostrzegła to i uśmiechnęła się:

— Kochana Zeniu! rzekła wesoło, na dowód że cię kocham i nie gardzę twemi darami, proszę cię abyś mi sprawiła parę ładnych sukien w których bym do ciebie przychodziła, bo w téj mojéj ulubionéj sukience wyglądam w twojem mieszkaniu jak pokrzywa pomiędzy kwiatami.

Zenia z właściwą sobie ruchliwością wrażeń rozśmiała się w głos z téj uwagi siostry.

— Moja droga! zawołała, gdyby tu był jaki salonowiec, nie omieszkałby ci powiedzieć, że wyglądasz jak wonny fijołek pomiędzy dumnemi różami, nagle spoważniała znowu i dodała.

— Co tam o sukniach mówić! to rzecz najmniejsza! Przyznam ci się, żem dziś z twego powodu całą noc nie spała i na wszystko to co mi wczoraj powiedziałaś wymyśliłam taką odpowiedź, że już chyba nie zwyciężysz mię tą razą..

Mówiąc to wprowadziła nas do ślicznego gabinetu i posadziła na sofce wybitéj amarantową materją. Sama usiadła przy nas na fotelu i mówiła daléj.

— Moja Emilciu, wszystko co mi powiedziałaś o twoich zamiarach i postanowieniach, jest bardzo piękne i wzruszyło taką nawet jak ja wietrznicę.

Ale zapomniałaś siostrzyczko, o jednéj rzeczy oto o tem, że mieszkając przy mnie daleko łatwiéj za mąż wyjść możesz.

Wyrzekłszy to Zenia tryumfująco—figlarnie spojrzała na siostrę.

— Ważny argument, ze smutnem nieco uśmiechem odrzekła Emilka!

— Nieprawda! zawołała Zenia cała przejęta swoim pomysłem, będę cię póty stroiła, woziła, pokazywała aż zrobisz dobrą partję! Mam mnóstwo stosunków we wszystkich stronach świata, i pomiędzy licznemi memi znajomemi znajdzie się niezawodnie ktoś, kto cię uczyni szczęśliwą i bogatą kobietą!

— Wątpię, odpowiedziała Emilka, zapominasz że pomiędzy twemi znajomemi nie ma zapewne młodych ludzi, którzyby się żenili z ubogiemi i nieładnymi pannami...

Zenia zaczynała się już gniewać.

— Wmówiłaś tylko w siebie że jesteś nieładną odrzekła, masz owszem piękne oczy i zgrabną figurkę, gdybyś ubrała się jak należy i była więcéj ożywioną, mogłabyś się bardzo podobać...

— Spodziewam się że nie powiesz abym równie wmówiła w siebie, że nie mam majątku, broniła się Emilka na wpół ze śmiechem na wpół z pewnem zniecierpliwieniem.

— I cóż ztąd? wołała Zenia zrywając się z fotelu i według swego dawnego zwyczaju biegając po pokoju; małoż to bogatych i młodych ludzi żeni się z ubogiemi pannami.

Tu zaczęła wyliczać imiona wszystkich ubogich panien, a które zrobiły, jak się wyrażała, dobre partje.

— Słuchaj Zeniu, ozwała się Emilka bardzo poważnie, a czy nie przypuszczasz że ja nie pokochałabym może nikogo a przez samo wyrachowanie nigdybym za mąż nie poszła.

Zenia zatrzymała się na środku pokoju zmieszana nieco.

— Ależ zawsze... wymówiła jąkając się, miałabyś położenie w świecie... stanowisko...

—I chciałabyś naprawdę abym dla stanowiska wyszła za mąż bez miłości...

Zenia drgnęła na ten ostatni wyraz.

— Bez miłości... bez miłości... powtórzyła parę razy. Tak, ty możesz jeszcze marzyć o miłości...

Wzniosła w górę oczy jak zawsze gdy była czemś przejętą lub wzruszoną, i stała przez chwilę na środku pokoju pogrążoną w rodzaju niemego uniesienia.

— Miłość, mówiła po chwili splatając ręce przed sobą i przyciskając ją do piersi; o! moje drogie powiedzcie mi gdzie się znajduje na ziemi ten kwiat zaczarowany, bom ja go nie widziała nigdy, a jeśli widziałam to nigdy nie dostrzegłam. Pokażcie mi go a pójdę ku niemu przez głogi i ciernie, pokrwawionemi stopami i z gorejącem sercem! Miłość, jakiż wyraz wymówiłaś Emilko! dla czego dźwiękiem jego zbudziłaś drzemiącą strunę mojéj duszy? O, masz słuszność! dla miłości można wyrzec się bogactwa i wszystkich powabów życia, można wyrzec się nawet samego życia. O, kochać i być kochaną chwilę... chwilę tylko zaznać tego niebiańskiego szczęścia a potem... umrzeć!

Wymówiła to wszystko z wielkim zapałem, policzki jéj rozpłomieniły się, rozgorzały oczy. Skończywczy opuściła twarz na obie dłonie i parę westchnień wydobyło się z jéj piersi. Na to szczególne uniesienie młodéj kobiety, patrzyłam ze zdumieniem i smutkiem zarazem. Ostatni wyraz szczególniéj posępnym wymówiony tonem, dziwnie brzmiał w jéj purpurowych ustach i sprzeczał się ze świeżością i zdrowiem jéj postaci.

Nagle Zenia opuściła ręce i ukazała nam twarz śmiejącą się i rozpromienioną. Poskoczyła do Emilki i zawołała:

— Tak, tak, ty musisz wyjść za mąż, znajdzie się sposób na wszystko! dam ci posag z majątku Michała...

Emilka zarumieniła się.

— Moja Zeniu, rzekła, nie zastanowiłaś się nad tem co powiedziałaś. Alboż masz prawo rozporządzać funduszem twego męża? Alboż jabym cokolwiek przyjęła od szwagra, który i tak nie wziął z tobą żadnego posagu?

Zenia znowu była pobitą.

— No, rzekła rzucając się na fotel, jesteś jak widzę uparta, a przytem tak rozsądna że zawsze zwyciężyć mię umiesz. Nie mogę jednak pogodzić się z myślą abyś została starą panną i przez całe życie kleiła pudełka.

Emilka przysunęła się do niéj i po swojemu to jest z cicha i łagodnie zaczęła ją przekonywać, iż przyszłość jaka ją czeka nie jest tak straszna jakby się napozór wydawać mogło, i że zresztą jest ona już do niéj zupełnie przygotowaną. Zenia sprzeczała się, niecierpliwiła, całowała siostrę, odwracała się od niéj z gniewem, nareszcie umilkła i słuchała słów Emilki tak jak wczoraj powtarzając. Nie pojmuję! Nie pojmuję! to znowu wstrząsając głową z namysłem i mówiąc do siebie. Kto wie? może zresztą i pojmuję! może to i lepsze!

W czasie téj rozmowy dwóch siostr, nie odzywałam się ani słowa, nie mogłam wbrew memu przekonaniu popierać Zenię i stawać po stronie Emilji, nie chciałam odbierać jéj samodzielności i wywierać wpływu na jéj zdanie i postanowienie.

Nie biorąc więc żadnego udziału w rozmowie rozglądałam się po pokoju. Był to bardzo ładny gabinet jak zwyczajnie wszystkie gabinety młodych i światowych kobiet, błyszczący od zwierciadeł i napełniony mnóstwem kosztownych fraszek. Jeden wszakże przedmiot zwrócił wyłącznie moją uwagę. Niedaleko kozetki na któréj siedziałam, pod oknem stało wykwintne damskie biórko z różanego drzewa, a na nim leżały papiery różnych kształtów całkiem zapisane, współzapisane, złożone wkształt zeszytów lub tu i owdzie porozrzucane w osobnych powiewnych ćwiartkach. Z boku zaś były trzy spore książki oprawione w błękitny i pąsowy aksamit, ta która leżała na wierzchu miała na okładce złotemi literami wyryty napis francuzki: „Poesie“. Przypatrywałam się zdala tym papierom i książkom z zajęciem i uważałam, że pojedyncze ćwiartki rozrzucone na biórku zapisane były to wierszami, to po prostu drobnem pismem w wielu miejscach przekreślanem i poprawianem.Zenia lubo zajęta rozmową z siostrą, spostrzegła znać że zwracam uwagę na jéj biórko, zarumieniła się mocno i rzekła do mnie z pośpiechem.

— Uważam Wacławo, że zaciekawia cię moje biórko i ta mnogość papierów jaką na nim widzisz. Otóż powiem ci, że w chwilach wolnych zajmuję się bardzo literaturą i wypisuję sobie z książek różne ustępy i poezje, które mi najwięcéj przypadają do smaku.

Ze wzmożonego jéj rumieńca i niepewnego głosu poznałam, że mówiła nieprawdę. Zaczęła znowu rozmawiać z siostrą, ale co chwilę rzucała przelotne spojrzenia na mnie i na biórko, wyraźnie miała chęć jakąś którą wahała się objawić. Nareszcie zarumieniła się znowu i zwróciła do mnie. Może chcesz przejrzeć te książki oprawne w aksamit, rzekła. proszę cię abyś robiła u mnie wszystko co ci się podoba. W książkach tych znajdziesz wyjątki z rozmaitych romansów i poezji...

I znowu najniezawodniéj mówiła nieprawdę.

Korzystając z pozwolenia wzięłam do ręki książkę z napisem *Poesie* i zobaczyłam, że druga miała tytuł *Reveries* a trzecia *Larmes*. Zaledwie jednak zdołałam odwrócić okładkę i rzucić okiem na pierwszą stronicę. Zenia porwała się z twarzą zapłonioną jak szkarłat, i wyrwała mi książkę z ręki. Potem stanęła na środku pokoju i twarz nią sobie zakryła.

— Co to się znaczy, Zeniu? spytała Emilka zdziwiona postępkiem Zeni i nagłym, a tak silnym jéj rumieńcem.

— Nic, nic, odpowiedziała Zenia ochłonąwszy nieco i podniosła twarz oblaną w téj chwili marzącym wyrazem; obawa mię jakaś zdjęła i wstyd gdy zobaczyłam, że Wacława przeglądać ma te pisma... Przystąpiła do mnie z uśmiechem i wilgotnemi oczami.

— Weź, weź tę książkę, rzekła, przeczytaj ją a potem powiesz mi, jak ci cię podoba to co w niéj znajdziesz. Powiesz mi czy zrozumiałaś serce które nakreśliło na tych stronnicach marzenia swe podniebne, zawiedzione nadzieje, tęsknoty swe do miłości i... Powiesz mi czy istota która to pisała, może jeszcze spodziewać się czegokolwiek na ziemi? Czy rozkwitnie dla niéj cudowne kwiecie szczęścia i miłości, czy już tylko przyjdzie jéj życie całe tęsknić po przeczutym a niezaznanym raju?..

Rzekłszy to oddała mi rękę i kryjąc twarz w dłonie odbiegła do siostry, z którą znowu rozmawiać zaczęła, od czasu do czasu rzucając na mnie przelotne wejrzenia.

Któżby się potem wszystkiem nie domyślił, że owe „poezje” „marzenia” i „łzy” były własnemi utworami Zosi. Z prawdziwą ciekawością otworzyłam najpierw książkę *Łez*, i rzuciłam okiem na pierwszą lepszą stronicę. Pierwsze wyrazy które przeczytałam były następne: „kędy spojrzę wszędy rozkwitają kwiaty żałoby, kędy stąpię wokoło mnie rozkłada się pustynia. Żałobne kwiecie i puste wy-

dmy zraszane łzami memi. Jestem tak młoda a już tyle płakałam, że oczy mi zagasły i zwiędły mi lica. Przeczytawszy to podniosłam wzrok i nie mogłam wstrzymać się od uśmiechu, patrząc na kwitnącą świeżość twarzy i pełne połysku oczy autorki tych wyrazów. Przerzuciłam parę stronic i wzrok mój spotkał się z następującym ustępem:

„On mię nie rozumie. Daremnie wpatruję się w twarz jego aby znaleźć na niéj odbłyski bratniéj duszy.. nie znajduję ich; chłód śmiertelny przeszywa serce moje, o losy, losy! cóżeście ze mną uczyniły? Mamże na wzór tych nieszczęsnych niewiast o których pisali wieszcze i natchnieni, cierpieć bez ulgi i umierać młodo! Tak, umrę niezrozumiana przez nikogo, niezaznawszy szczęścia, złamana pod krzyżem włożonym na me młode barki! Któż na mogile mojéj zapłacze? Czyja łza zrosi murawę co zazieleni się na mym grobie? Kto pośle ku mnie westchnienie wtedy, gdy dusza moja zawiśnie pod błękitnemi obłokami na drżącym, bladym promieniu księżyca! Nikt, nikt. O, czemuż nie umarłam w kolebce, wtedy matka moja zapłakałaby nademną!“

Podniosłam znowu wzrok na Zenię, ale nie miałam już do uśmiechu ochoty, bo lubo niebieska materja jéj szlafroczka nie była wcale podobną do ciężkiego krzyża włożonego na barki, ani błyszczący jéj gabinet do grobu niczyjemi niezroszonego łzami, to jednak w tem rozmarzeniu się młodéj kobiety, była bolesna jakaś strona. Zenia przestała w téj chwili rozmawiać z Emilką i sparłszy skroń na różowych palcach, zamyślone oczy utkwiła w środkowy rysunek sufitu. Nie wyglądała zaprawdę na kobietę o wyschłem od cierpień licu i gotującą się do spoczynku w grobie, ale po raz pierwszy gdy siedziała w téj postawie, spostrzegłam w jéj oczach pewien wyraz znużenia i istotnéj tęsknoty.

Wzięłam do ręki książkę marzeń i odkryłam ją na karcie noszącéj tytuł: *nieznany*. Pod tytułem była wyrysowana ołówkiem piękna głowa młodego, bardzo mężczyzny o długich gęstych włosach, ściągłéj marzącéj twarzy i wielkich południowych oczach. Można było w niéj poznać naprędce naszkicowany portret jakiegoś Włocha. U dołu portretu napisane były te słowa:

„Gdzie jesteś ty, który raz tylko jeden ukazałeś się moim oczom i zniknąłeś jak piękne, senne zjawisko? Źrenice moje odbiły cię w sobie i obraz twój przegląda się już w nich wiecznie jak słońce w kryształowéj wód szybie! Na czole twem srebrne światło gwiazd obrało swe mieszkanie, włosy twe to snopy księżycowych promieni osypanych pomrokiem nocy, oczy twoje wzięły żar z nieba pod którem się urodziłeś i napełnione nim płoną jak dwa słońca. Żegnam cię, nieznany, wymarzony! Spojrzenia nasze raz tylko spotkały się z sobą a dusze nasze bratnie zrozumiały się i ukochały! Nie szukałeś mię więcéj, boś wiedział że nienależę już do świata i że miłość i szczęście nie dla mnie biednéj! Ja także nie szukałam cię i odjeżdżam z obrazem twoim na dnie duszy! Kiedy po wielu leciech wspomnisz o mnie, poślij westchnienie tam do innych światów w których wkrótce przebywać będę!“

Pod wyrazami temi u spodu karty wyrysowana była woda wzburzona, a na niéj dwie łódki płynące każda w inną stronę. Na jednéj z nich stał ten sam mężczyzna którego portret był w górze, druga wioząca trumnę przykrytą całunem, a na trumnie był napis: *Zenona*.

Na innéj kartce był wierszyk p. t. *Na balu*. Zenia opowiadała w nim, że złotowłosy młodzieniec dał jéj na początku zabawy różę białą. Co znaczy ten kwiat? spytała. Czystą miłość! odparł młodzieniec. Nim bal się skończył z białéj róży wszystkie listki odpadły co do jednego, złotowłosy młodzieniec odszedł smutny mówiąc. Wraz z różą tą umarło szczęście moje! I nigdy więcéj już go nie ujrzała, bo w dwa tygodnie potem ożenił się z bogatą panną. Rysunkiem do tego wierszyka była róża, którą zawieszony w powietrzu kupidynek z figlarnym oskubywał uśmiechem.

Był tam jeszcze wiersz do księżyca, oda do miłości, medytacje nad marnościami rzeczy ziemskich, westchnienia, do nieznanego szczęścia i ponure marzenia o grobie, a wszędzie rysunki przedstawiały to sklepienie niebios z księżycem i gwiazdami, to cmentarze, to kupidynów i kwiaty, to nareszcie rozkochane pary siedzące w pasterskich ubiorach pod cieniem drzew rozłożystych. Na jednéj stronicy był wielkiemi literami wypisany jeden tylko wyraz: *Nudzę się!* a po nim kilka rozpacznych wykrzykników. Na drugiéj stało kilka znaków zapytania wypisanych widocznie niecierpliwą ręką. O co pytała, czego szukała myśl młodéj kobiety w czasie, gdy ręka jéj stawiała na białéj karcie te nieme, drżące znaki pytania? Gdzieindziéj Zenia narysowała twarz swego męża i podpisała u spodu: *poczciwy, dobry Michaś*. Czułaż wtedy że jéj dobrze i miło z człowiekiem z którym żyła? Ale o kilka kartek daléj były dwa serca gorejące i strzałą ognistą przeszyte, a pod niemi napisy: *Nieznany i Zenona*. Na ostatniéj nareszcie stronnicy książki był wierszyk p. t. *Nad trumną mego dziecięcia* śliczny, pełen czucia i prawdziwego smutku. W wierszu matki bolejącéj nad śmiercią swego dziecka, rysunku nie było, tylko parę plamek żółtawych widocznie pochodzących od łez które na papier upadły. Wprzódy już wiedziałam o tem że Zenia miała dziecię, które umarło w kilka miesięcy po urodzeniu, na rok przed powrotem jéj do kraju. Z krótkiego wierszyka zawartego w księdze *Łez* dowiedziałam się, że Zenia namiętnie kochała swe dziecko i długo nie mogła o niem zapomnieć.

Wszystkie te trzy księgi tworzyły istny haos uczuć prawdziwych i fałszywych, marzycielstwa bujającego w obłokach i istotnych pragnień serca. Główne jednak tło ich stanowiło pewne znużenie moralne, obok niesłychanie rozigranéj wyobraźni i odzywających się tu i owdzie poczciwych porywów dobréj w gruncie natury. *Poczciwy Michaś* i gorejące serce *nieznanego*, napuszona i wodnista oda do miłości i śliczny wiersz nad śmiercią ukochanego dziecka, trumny pozakrywane całunami, kwiaty oskubywane przez kupidynów, wspomnienia tryumfów balowych, znaki zapytania, wykrzyki znudzenia, piękne i prawdziwie serdeczne słowa rzucone tu i owdzie i tuż przy nich zaraz mgliste obrazy, jakiegoś nieznanego raju i skargi niezrozumianéj istoty, wszystko to stało obok siebie w dziwacznem połączeniu, z za którego widniał rozstrój duszy nie mogącéj dojść do samopoznania, błąkanie się umysłu nie zajętego niczem, a upojonego narkotykiem świata, ślepe rzucanie się serca, które czuło że straciło coś pięknego, ale nie wiedząc kędyby odszukać pociechy, wydawało zbyt głośne jęki i omijając istotną przyczynę cierpienia, skarżyło się na urojone męczarnie i stawiło przed sobą jako jedyną nadzieję, trumnę przykrytą całunem, któréj w istocie lękało się śmiertelnie, lub trofea balowe, które również śmiertelnie nudzić je poczynały.

Gdy tak rozmyślałam trzymając na kolanach: *Poezje, Marzenia i Łzy* Zeni, o kilka kroków przedemną pomiędzy fałdami zasłony osłaniającéj drzwi prowadzące z gabinetu do sąsiedniego salonu, ukazała się duża męzka ręka nieco czerwona i z grubemi palcami. Zdawało się że ręka ta z nieśmiałością uchylała firankę, a zarazem ozwał się za firanką męzki głos miękki i sympatyczny:

— Czy mogę wejść?

Zenia w stronę drzwi zwróciła swą ustrojoną główkę i zawołała wesoło.

— Proszę!

Wtedy firanka rozchyliła się zupełnie i na progu ukazała się potężna o szerokich ramionach postać Michała. Lubo w gabinecie było nas trzy osoby, blado błękitne, okrągłe jak dawniéj, dobroduszne i poczciwe i jak dawniéj też nieco zadziwione i omglone oczy gospodarza domu, spoczęły przez chwilę na jednéj tylko Zeni. Wątpię czy spostrzegł nawet, że był tam ktokolwiek prócz niéj, bo patrzył tylko na nią i zdawało się, że blask świeżości i wdzięku młodéj kobiety, odbił się na jego twarzy tak uśmiechnąć się radośnie. Zenia nie ruszając się z miejsca wyciągnęła do niego rękę i wyrzekła z uśmiechem.

— Michasiu! mamy gościa!

(d. c. n).

SKAŁA LEGJI HONOROWEJ

NOWELLA

B. Auerbach'a

przełożył O....

(Dokończenie.)

Ludwika odważyła się wziąść z sobą album i ukrywszy go starannie pod paletotem, wyszła wzdłuż wybrzeża, wynalazła tam sobie dobry punkt widzenia z daleką perspektywą, poczem zapewniwszy się że nie jest widzianą, rozpoczęła rysować.

Na obiad wróciła zadowolniona, wzmocniona pracą, u stołu panowała serdeczna wesołość, panom powiódł się połów ryb i owoc ich stanowił jedną z potraw obiadu.

Niebo się zachmurzyło ale malarze nie dali się tem odstraszyć i wrócili do swych zajęć. Gaspar, który obok wielu swych umiejętności, przywłaszczył sobie tytuł nieomylnego proroka pogody, przepowiadał straszną burzę wieczorem; i rzeczywiście gdy jeszcze przy wieczerzy siedziano, zaczęło grzmieć a częste błyskawice rozdzierały niebo. Kobiety tylko przeszły do przyległego salonu, ale żadna z nich nie śmiała dotknąć strun, teraz gdy z zewnątrz tak straszna dobiegała ich muzyka. Artyści wyszli aby się przyjrzeć błyskawicznemu oświetleniu i powrócili dopiero, gdy ulewny deszcz zaczął padać.

ROZDZIAŁ XII.

GWIZDNIĘCIE I KRZYK ROZPACZY.

Jasny ranek zaświtał, drzewa i trawy błyszczały świeżą zielenią, a kontury gór dobitnie się rysowały po błękitnem, gładkiem niebie. Ludwika odważyła się zabrać pudełko z farbami, które mały chłopiec niósł za nią, i z laską w ręku, weszła na pagórek niezbyt odległy od oberży. Z boku dolatywał ją szmer strumienia, który po burzy jakoś żywiéj płynął jak dotąd. Szła brzegiem łożyska, ku źródłu a im dłużéj tak szła, tem weselszą była, swobodniejszą i często obracała się ku jezioru, popatrzyła na gładką jego powierzchnię i czuła się dziwnie szczęśliwą. Teraz stanęła na odłamie wystającym skały

zkąd dobrze można było widzieć, w dole płynący strumień. Zatrzymała się, oparła laskę o grunt mchem porosły, przyłożyła lewą rękę do ust i wesoło zagwizdała piosenkę.

Cicho! u dołu, z wąwozu zabrzmiała w gwiździe odpowiedź. Czy to nie głos pana Edgarda gdy gwizdał owéj księżycowéj nocy?

Gwizdnięcie, niby jakiś okrzyk radośny zabrzmiało z ust Ludwiki w powietrzu i natychmiast także sama wróciła z wąwozu odpowiedź. Potem rozlegał się głos. Przyjdź do mnie, wesoły chłopcze! Gdzie jesteś?

Jakto? Czyżby i to był pan Edgard. Czyż on mówi także i po niemiecku? pomyślała Ludwika i postąpiła naprzód. Stała na samym brzegu skały, w miejscu gdzie się pochylała nagłym spadkiem, w tem nagle zawołał z dołu pan Edgard, tym razem jednak po francuzku, aby się zatrzymała gdyż stoi na niebezpiecznym punkcie, z którego najłatwiéj stoczyć się w przepaść. Zagłębiła koniec swéj laski w rozpadlinie skały, pochyliła się naprzód i teraz dopiero zobaczyła na przeciwnym brzegu strumienia, gdzie był zbudowany lekki pomost z desek Edgarda owiniętego pledem i w wielkich drewnianych, zabotach na nogach. Przed nim stały stalugi.

— Wróć się pani, wołał niespokojnie, na lewo, tam gdzie te dwie jodły! Czy chcesz pani dojść tutaj? Ja po panią przyjdę. Tylko chwilkę cierpliwości. Czy pani zupełnie bez przewodnika?

— Ja tu jestem, zawoła mały przewodnik; szybko stanął przy Ludwice i dopomagał jéj zejść podając rękę. Musiała na prawo i na lewo chwytać się drzew i krzaków, aby się nie ześliznąć; wreszcie stanęła przy moście. Ale i tu jeszcze dojść do niego nie mogła, gdyż trzeba było przejść w bród jedną odnogę strumienia.

Pan Edgard przepraszał ją że nie dość szybko przyszedł jéj w pomoc, ale ubiór mu był w tem przeszkodą. Wskazał na drabinę leżącą na brzegu i chłopiec przerzucił ją szybko przez odnogę strumienia ku skale, na któréj opierał się pomost i Ludwika stanęła na chwiejących się deskach pomostu.

— Nie idź pani daléj; ten most nie uniesie dwojga ludzi, zawołał pan Edgard i dodał żartując. Most, który sobie zbudowałem na burzliwym życiu strumienia, mnie samego tylko unieść może.

Ludwika nic nie odpowiedziała. Malarz dodał że dotąd strzegł pilnie swéj leśnéj świątyni przed okiem profana, kiedy ją jednak znalazła zezwala chętnie, aby ją spokojnie obejrzała. Wesołym tonem radził jéj, aby przyjęła jego zwierzchni paletot, gdyż tu panuje chłód taki że bezpiecznie mógłby nadać temu miejscu nazwę reumatyzmowéj groty. On różnych musiał używać środków aby się pozbyć reumatyzmu, którego się w zeszłym roku nabawił.

To też owinął się znowu starannie pledem i wtedy zapytał: Więc pani jesteś także nimfą skoro tak ślicznie gwizdała? Jakże cieszę się z tego spotkania, radości méj nie umiem nawet wyrazić. Doprawdy wziąłem panią za młodego górala.

To mówiąc stanął właśnie na pomoście, ten się zachwiał, tym razem jednak dodał. Zdaje mi się że zdoła utrzymać i panią i mnie. Wejdź pani pierwsza, zobaczymy to zaraz.

Malarz podał Ludwice rękę stanęła obok niego i raz spoglądała na sztalugi to znów na skałę, spadek strumienia i całe otoczenie. Cóż było ponętniejszego, rzeczywistość czy też reprodukcja sztuki? Strumień spadał ze skały, rozdzielał się jednak natychmiast na dwie odnogi z pośród których sterczało urwisko, na jakiem z trudnością rosła młoda jodła, pomiędzy któréj gałęziami rysował się mały kawałek błękitnego nieba.

— Pani nic nie mówisz? spytał malarz Ludwikę.

— Najchętniéj milczałabym. Jedno tylko mogę powiedzieć, że z obrazu tego widać jak panu musi być swobodnie przy téj pracy. Powietrze, koloryt mówią o tem do duszy.

— Cieszy mnie że pani nie czynisz jak inne a zwłaszcza niemieckie, kobiety z cokolwiek lepszem ukształceniem, które zaraz rozpoczynają parlamentarne rozprawy o każdem dziele sztuki. Na czele idzie interpelacja do artysty jako odpowiedzialnego ministra natury. Jak to rozumiesz? Zkąd to masz? Przedewszystkiem jednak jak pokrywasz deficyt, którego sztuka w obec życia nigdy pokryć nie może?

Ludwika drgnęła. Dla czego wybrał artysta właśnie to porównanie do dawnéj córki parlamentu?

Pan Edgard jednak ciągnął wesoło daléj, nic nie jest zdaje się okropniejszego jak rozprawiać o sztuce. Gdyby to co obraz przedstawia można było oddać słowami, malarstwo byłoby zbytecznem.

Ludwika drgnęła znowu. Artysta mówił jéj to czego doznała we Włoszech i do czego długiem doszła rozumowaniem.

— Teraz dopiero, rzekła pojmuję to co sztuka może i powinna zdziałać. Długie to pasmo gór pozwala z przyjemnością spocząć oku lubownika natury, ale.....

— Ale, co?

— Ah, daruj pan że się do słów uciekam, że sobie chcę to wytłomaczyć!

— Przeciwnie pani jesteś na właściwéj drodze, wszak rysujesz także?

— Tak, jest malowałam nawet.

— Tak jest! podjął Edgard sztuka nie potrzebuje imponujących mass gór i rozległéj przestrzeni. Kilka drzew, jakieś wzniesienie a ponad tem niebo, to jéj wystarcza.

Ludwika nie przedłużała téj rozmowy, prosiła tylko pana Edgarda, aby sobie nie przerywał pracy, gdyż dla niéj niezmiernie ponętną była ta myśl, że będzie obecną powstawaniu uroczego dzieła sztuki. Chętnie przystał na to pan Edgard i pracując nad z żółkłemi liśćmi opowiadał, że temu kawałkowi ziemi zawdzięczał szczęście całego życia. Teraz po raz drugi malował ten obraz, a temu stromemu urwisku, które on przedstawiał nadał imię skały legii honorowéj. Obrazowi w zeszłym roku wykończonemu zawdzięczał rozgłos i order legji honorowéj, który jak to zwykle w świecie bywa ma także swoje znaczenie. Mówił to wszystko tonem dziwnie swobodnym, nie patrzył wcale na Ludwikę tylko zwracał oczy to na skałę to na stalugi. Teraz odwrócił się i spytał Ludwikę z których stron Niemiec pochodziła.

Wymieniła swe rodzinne strony, a artysta powiedział że niejedno studjum robił w tych stronach i nie jeden jeszcze obraz ma nadzieję z nich przygotować i znów malował daléj; po chwili spytał czy Ludwika zna fortecę X.

Odpowiedziała twierdząco.

— Może znasz pani także córkę po byłym majorze, Marję Florneck?

— Ach! znam, to przecie moja przyjaciołka z lat dziecinnych. Niedawno temu była u nas ze swoim narzeczonym!

— Z narzeczonym? z dziwnym wyrazem twarzy powtórzył Edgard.

W tem most nagle zatrzeszczał, malarz stoczył się w parów, rozległ się krzyk straszny i Ludwika spadając krzyknęła, ale szybko jednocześnie prawie zerwała obraz ze stalug i podniosła go w górę. Przemokły podniósł się pierwszy Edgard.

— Odbierz pan odbierz już dłużéj utrzymać go nie mogę zawołała Ludwika, siląc się trzymać obraz po nad wodą. Malarz odebrał z jéj rąk obraz, zawiesił go na palu mostowym i objąwszy Ludwikę niósł ją więcéj jak prowadził ku brzegowi.

— Czy pani nie doznałaś jakiego szkodliwego stłuczenia? zapytał.

— Zdaje mi się że nie mogę tylko stanąć lewą nogą.

Chłopiec który stał na brzegu, pobiegł do oberży, przyszedł ojciec Ludwiki a z nim dwóch tragarzy z noszami. Zaniesiono Ludwikę, obok niéj szedł pan Edgard; a w ręku trzymał uratowany obraz od zniszczenia.

ROZDZIAŁ XIII.

MIŁOŚĆ I FATALIZM.

Nieszczęśliwy przypadek Ludwiki wprawił w ruch dom cały. Szczęściem było że wśród gości znajdował się lekarz, a młody człowiek dotąd tak ponury i milczący, na którego nikt nie zwracał uwagi, teraz stał się głównym punktem ogólnego zajęcia. Obejrzał nogę i oświadczył, że kość silnie była zaatakowaną. Gaspar mistrz do wszystkiego i na ten raz nawet miał pomoc gotową. Przyszedł ze słojem pełnym jakiejś maści, którą sławił jako wypróbowaną w podobnych przypadkach, gdy jeszcze służył w papiezkiem wojsku.

Kiedy już opatrzono nogę Ludwice, prosiła aby ją zostawiono samą. Siliła się aby odgadnąć co mogło być powodem wzruszenia pana Edgarda, gdy mu mówiła o zaręczynach Marji, nie mogła znaleść wyjaśnienia. To znowu pragnęła wiedzieć co mieszkańcy hotelu mówić będą o jéj spotkaniu. Wreszcie sen dobroczynny uwolnił ją od tych wszystkich trosk i domysłów.

Gdy się obudziła był jeszcze dzień jasny i z radością spostrzegła przed sobą obraz na stalugach. Poprosiła ojca i pana Edgarda do siebie, i spokojnym głosem zapewniała tego ostatniego, że teraz dopiero po raz pierwszy usłyszała Ludwika, że rotmistrz grał tylko rolę narzeczonego Marji w tym celu, aby ona go lepiéj poznać mogła. Zakryła oczy chustką malarz zaś zawołał.

— Jest to jeden z jéj oryginalnych wybryków, ale na ten raz za wielki. Nie uszłoby to żadnéj pannie a cóż dopiero takiéj, która związała się przyrzeczeniem z innym.

Ludwika uspokoiła się już do tyla, że mogła bronić Marję; w duchu jednak przypomniała sobie słowa babki, która przypisywała Marji wszelkie zdolności aktorki i uznawała słuszność téj uwagi.

Malarz patrzał w twarz Ludwiki poważnie, badawczo, a po chwili prosił ją aby mu pozwoliła opowiedzieć sobie poznanie z Marją i ich wzajemny stosunek. Ludwika uniosła się na posłaniu i odetchnęła głęboko. Ojciec położył rękę na jéj czoło, potem poprosił malarza, aby na inny dzień odłożył opowiadanie. Ludwika nie śmiała się sprzeciwić, p. Edgard też oddalił się, a ona pozostała sama z ojcem. Raz jeszcze spytała czy rzeczywiście rotmistrz grał tylko komedję? Pan Merz musiał i teraz to potwierdzić.

Wieczór nadszedł, Ludwika miała mocną gorączkę, doktór przepisał uspokajające lekarstwo. Wokoło domu panowała najzupełniejsza cisza, fon-

tannę nawet zatrzymano, aby plusk jéj nie przerywał spoczynku choréj.

Nazajutrz rano Ludwika przebudziła się znacznie już silniejszą. Pan Edgard zapytał czy może ją odwiedzić? Przystała na to chętnie, usiadł więc obok nich i opowiadał.

— Wczoraj panie Merz mówiłeś, że z zajęciem śledzisz każdą okoliczność, dotyczącą losów twego kraju i że urządzenie dzisiejsze, w skutek którego cała młodzież nasza stoi pod bronią, ma w sobie coś barbarzyńskiego. W istocie! To pochłonięcie wszystkich sił żywotnych jest wręcz przeciwko duchowi naszego czasu, ale mimo to jeszcze pominąłeś wiele bytów pozornie błyskotnych a w istocie bez zdrowéj trwałéj podstawy, wypływających z tego ustroju.

Jestem dzieckiem żołnierza wcześnie osieroconem. Od siódmego roku życia począwszy nosiłem już mundur; matka moja żyła w nędzy, wreszcie postanowiła iść w służbę. Przez lat czternaście była gospodynią na wsi niedaleko stron rodzinnych. Wiele jéj sprawiałem zmartwienia gdyż zamiast, jak się tego spodziewała zostać oficerem, opuściłem służbę wojskową i poświęciłem się sztuce. Możecie sobie państwo wyobrazić żal biednéj mojéj matki, która do skarg że będę wagabundą dodawała często ten wyrzut, że nigdy jak ojciec, nie będę nosił na piersi orderu. Widzicie więc państwo, że to nie jest próżnością z mojéj strony noszenie orderu — to tylko zaspokojenie serdecznego życzenia matki. Ale przebaczcie, zbyt rozwlekłe opowiadanie. Wiele bied przeszedłem w życiu; tak jednak szczęśliwą jest nasza natura, że wszelki ból, każdą biedę, zapominamy wkrótce, jeżeli przyszłość choć trochę lepszą da nam chwilkę. Dziś, kiedy o przeszłości pomyślę, zdaje mi się że to inny przeżył te kłopoty i biedy, a nie ja. Cztery już lata temu spotkało mnie wielkie szczęście. Pewien kupiec niemiecki, który w Szkocji znaczny zebrał majątek, a osiadłszy niedaleko Bieberich zbudował rozkoszną willę, życzył sobie aby wielki salon przyozdobiony był widokami Szkocji. U kupca obrazów zobaczył on jeden z moich pejzaży i wkrótce otrzymałem niespodziane zlecenie ozdobienia ścian owego salonu. Otrzymałem natychmiast pieniądze na podróż przez ciąg całego lata po Szkocji. Powróciłem i z nowym zapałem zabrałem się do pracy. Starsza siostra żony bogatego kupca, kobieta niezmiernie ukształcona i szlachetna, wzięła mnie w szczególną swoją opiekę i śmiało powiedzieć mogę, że oprócz matki nigdy nikt z ludzi tak mi serca nie orzeźwił jak pani Agata.

I cóż może być piękniejszego? Miałem wokoło siebie przychylnych, życzliwych, przyjaznych ludzi, mogłem zabezpieczyć los mojéj matki, która opuściwszy służbę zamieszkała u swéj siostry, a w dodatku miałem wiele miejsca i doskonałe światło do malowania mych obrazów.

To też w sercu było mi wesoło, radośnie. Wśród lata zjechała do Bieberich przyjaciołka mojéj opiekunki, a z nią była panna Marja von Korneck. Przyjeżdżały często do willi, sama pani nie miała ani trochę zmysłu malarskiego, Marja przeciwnie, z prawdziwem zajęciem śledziła postęp moich robót...

Raz siedziałem w ogrodzie, o zmroku, marzyłem o przeszłości i patrzyłem w piękny krajobraz. W tem usłyszałem głos mojéj opiekunki, która z siostrą się przechadzała. Tak, gdyby mi wolno było wybierać żonę Edgardowi, to wybranką byłaby Marja Korneck. Zadrżałem; i ja znajdowałem niezmierną przyjemność w wiecznie wesołem naturalnem usposobieniu Marji, ale nazwać ją moją, nigdy mi przez myśl nie przeszło. Przyznaję się szczerze, boję się nadzy zbyt jéj wiele zaznałem we wszystkich gorzkich jéj skutkach. Często w cichéj godzinie rozmyślań powtarzałem sobie: nigdy nie buduj domowego ogniska na wątpliwéj materjalnego bytu podstawie. Zwycięzko opierałem się dotąd wszelkim powabom i tak doszedłem lat trzydziestu z codzień to silniejszem przekonaniem, że lepiéj zrzec się domowego szczęścia, jeżeli go nie można na pewnych ugruntować dochodach. Nazwijcie to państwo jak chcecie: mieszczaństhwem, tchórzostwem.

Pan Merz skinieniem głowy zaprzeczył, a Edgard ciągnął daléj:

— Często czyniłem sobie takież same wyrzuty, a czasem nawet surowszych dobierałem wyrażeń, ale moje zrzeczenie się miłości i rodzinnego szczęścia zbyt było silnem, gdyż było wynikiem długich roztrząsań i badań. Wyszedłem ze zwykłego mieszczańskiego życia, z ciągłéj walki o byt materjalny, poszedłem za skłonnością wybierając sobie zawód i dla tego postanowiłem przytłumiać wszelkie pragnienia spokojnego, domowego życia. Mówiłem sobie że muszę ponieść tę ofiarę dla sztuki, bo widziałem wielu moich kolegów, rozmijających się z zadaniem artysty dla tego, że nie mogli iść za popędem swego geniuszu ale dla żony i dzieci wykonywać musieli dobrze płatne prace. Miałem przyjaciela, który na każdym obrazie, czy to było stosownem lub nie, umieszczał dwa typy kobiece, blondynkę i brunetkę jedną, gdzie można było w aksamicie, drugą nieodzownie w jedwabiach.

— Są to obrazy, które się łatwo sprzedaje ale sztukę oszpecają tylko. Postanowiłem więc zapewnić matce spokój, a sobie życie wolne, oddane wyłącznie sztuce. Pociągnąć z sobą w to wątpliwe istnienie ukochaną, tego nie usprawiedliwiłbym sam przed sobą.

W téj chwili jednak nagła zaszła we mnie zmiana. Coś mi szepnęło, że szczęścia nie powinienem się zrzekać. Wyśmiałem ową trwogę w obec widma nędzy, powiedziałem sobie, że byłoby to tchórzostwem, że trzeba sobie zdobyć stanowisko i w skromniejszych warunkach bytu, stworzyć szczęście dla siebie i innych. Zbliżałem się więc coraz więcéj do Marji. Czasem jednak napadała mnie trwoga, ale gdym zobaczył Marję, gdy posłyszałem dźwięk jéj głosu, pierzchały wszystkie te myśli. Oboje byliśmy dziećmi żołnierzy, oboje poznaliśmy goryczy téj pozornéj egzystencji, o któréj mówiłem wam poprzednio. Ja mogłem się jeszcze uważać za szczęśliwego w porównaniu z Marją, bo ona musiała służyć i młodzieńcze swe usposobienie naginać co chwila do kaprysów kobiety, pedantycznéj i drobiazgowéj, tak że często podziwiałem jéj siłę panowania nad sobą, która ją jednak nie pozbawiała wrodzonéj swobody i naturalności. Ale mimo to wszystko, nie chcę tu uchodzić za lepszego niż jestem, nie miałem odwagi wyznać jéj mojéj miłości, i powtarzałem sobie często, gdyby pani Agata nie była rzuciła tego słówka, nie byłbyś nigdy przyznał się do silniejszego dla Marji uczucia.

Tak nadeszła jesień, między mną a Marją trwał niedopowiedziany, przytłumiony stosunek.

Zbliżył się dzień odjazdu, towarzyszyłem pani Agacie do Bieberich, aby raz jeszcze pożegnać moje nowe przyjaciołki. Kufry były już spakowane; Marja dziwnie była wzruszoną, staliśmy w oknie, z którego był widok na rzekę; ja pierwszy przerwałem milczenie.

— Dobrze że pani już odjeżdża, jakkolwiek mi to jest bolesnem. Spojrzała na mnie zdziwiona i nic nie odpowiedziała. Spostrzegłem że mimowolnie zdradziłem tę sprzeczną walkę, która toczyła się we mnie, dodałem więc.

Podaj mi pani rękę i pozwól mi tutaj pożegnać cię i powiedzieć: Cieszmy się i uważajmy to za dar losu, żeśmy się napotkali w świecie i w duszę zabrali oboje obrazy i wspomnienia, których zapomnieć nie można. Kiedy jednemu z nas zabłyśnie szczęście, to może liczyć na to że tam, daleko drugie tem szczęściem odżyje. Długo myślałem o tem czyby ci pani, nie dać jakiéj zewnętrznéj pamiątki, nic nie znalazłem i lepiéj że się tak stało. Nic pani nie pozostanie jak wspomnienie spotkania na drodze życia. Teraz zaś z serca życzę pani szczęśliwéj drogi.

Edgard się zatrzymał. Po długiéj chwili milczenia ciągnął daléj:

— Przebaczcie mi państwo że wszystko tak szczegółowo powtarzam, nie wiem jak się to stało, odtąd będę się starał opowiadanie moje skrócić.

Parowiec nadchodził, nagle ktoś zawołał; kufry i walizy przeniesiono na pomost, ja pozostałem. Nie naśladowałem mojéj protektorki, która kawałek drogi jeszcze odprowadzała swą przyjaciołkę: powiedziałem sędziwéj matronie i Marji ostatni wyraz pożegnania, nie wymówiliśmy już ani słowa, widziałem łzę w jéj oku, widziałem ją drżącą przez łzę co się kręciła w mojem. Kufry wyniesiono, wszędzie było pusto. Szedłem tłumiąc w sobie ból przez szereg pustych pokoi i mówiłem sobie: dobrze że się to raz skończyło, bo nie masz prawa wiązać jéj z twoim niepewnym losem. W tem zobaczyłem na stoliczku do szycia rękawki, które Marja w przeddzień jeszcze haftowała, zapomniano ich widać. Nie wiem jak się to stało, że wziąłem rękawki, zbiegłem ze schodów, dopadłem jeszcze szczęściem pomostu w chwili, gdy statek miał już odbić od brzegu. Chciałem Marji podać robótkę, ale kapitan myśląc że jestem opóźnionym pasażerem pochwycił mnie za ramię, pociągnął na pokład, i parowiec odbił...

Towarzyszka Marji patrzała na mnie zdumiona, ale pani Agata podała mi rękę i dostrzegłem że Marja zadrżała. Chwilę płynęliśmy w milczeniu:

— Mamy tylko chwil kilka powiedziałem wreszcie, bo w Walluf musimy wysiąść.

— Jakże to pięknie z pana strony żeś przyszedł jeszcze, rzekła Marja.

W jéj głosie leżało coś tak ujarzmiającego, że wszelkie rozwagi zniknęły i każda kropla krwi we mnie zawrzała.

— Marjo, rzekłem jéj, tylko już kilka minut posłuchaj co ci powiem. Nie mam żadnego prawa związania twego losu z moim, a więc pamiętaj nie będę ci przeszkodą, gdybyś znalazła szczęście. Tylko, proszę cię daruj mi trzy lata, to znaczy że będziesz wolną, jeżeli za trzy lata nie napiszę. Będę szukał dostatniego i pewnego bytu dla nas i może go znajdę. Jeżeli się nie uda, jesteś wolną. Związek ten nie jest nierozerwalnym, złącz się nim ze mną, czy mi to zechcesz przyrzec? Przystała.

Nie mogę wszystkiego opowiadać, ale zapomniałem dodać, żeśmy sobie wyznali miłość wzajemną.

Znów Edgard się zatrzymał. Nie śmiał spojrzeć na Ludwikę, spuścił oczy w ziemię, a przecież tak pragnął wiedzieć jak ona go sądziła. Wreszcie rozpoczął znowu:

— Byłem dziwnym człowiekiem, pełnym sprzeczności, czasem uważałem się za narzeczonego, to znów za zupełnie wolnego. Wszakże nic się nie stało, coby mnie wiązać mogło.

Skończyłem prace w domu kupca. Zarobiłem tak wiele że mogłem matce zapewnić byt na długie lata, więc puściłem się w świat swobodny i wolny. Byłem we Włoszech i szczególniejszym trafem w czasie

gdy i Marja tam była, dowiedziałem się jednak o tem wtedy dopiero gdy już wróciła do Niemiec. Przybyłem tutaj, wykonałem obraz przy którego powtórzeniu znowu spotkaliśmy się z sobą. W Paryżu otrzymałem za niego najwyższe odznaczenie. Winienem tu dodać, że ta oznaka zewnętrzna miała dla mnie wartość spowodowaną jedynie matki życzeniem. i w istocie list jéj w odpowiedzi na moje doniesienie tchnął nieopisanem szczęściem. Miałem znane imię i zamówione prace na długie lata. Doszedłem więc do chwili, w któréj mogłem ofiarować Marji wygodne i spokojne życie. Pisałem do niéj. Przybyłem tu raz jeszcze aby tenże obraz w mniejszym formacie powtórzyć; — czekam wiadomości od Marji, co więcéj, może jéj samej.

Edgard odetchnął. Co dziś jest, co się stało o tem wiecie...

Długą chwilę siedzieli wszyscy troje w milczeniu wreszcie rzekła Ludwika.

— Dziękuję panu, panie Edgardzie.

ROZDZIAŁ XIV.

NA FALI I W DOMKU.

Dnie biegły, Ludwikę wolno już było wynosić na powietrze, leżała teraz na szezlongu, w ogrodzie dzieci bawiły się wkoło niéj, kobiety siedziały obok wraz z doktorem, który odżył zupełnie bo i Edgard był Niemcem i serdeczną zawiązał z nim znajomość, również jak ojciec Ludwiki. Okazało się że to był dzielny i wysoko ukształcony młody człowiek. Nawet melancholik, któremu towarzyszył opuścił swój samotny pokój i przyszedł do Ludwiki. On to pierwszy powiedział: Powinnabyś pani iść za pana Edgarda, byłaby z was piękna para.

Ludwika zadrżała a wszyscy obecni spojrzeli po sobie ze zdziwieniem, potem spuścili oczy w ziemię. Obłąkany, który z każdym dniem przychodził do zdrowia, wypowiedział to co wszyscy myśleli. Oczekiwano listów. Ile razy Gaspar przynosił worek z poczty, Ludwika dziwnie była wzruszoną, myśląc czy jaka wiadomość nadejdzie od Marji, czy też w miejsce listu ona sama przybędzie? Prosiła ojca aby wraz z nim mogła opuścić cichą ustroń, ale doktór nie chciał na to przystać, tak więc została. W codziennem spotkaniu się z panem Edgardem poznała jego świeżą, dzielną naturę i otwartego a silnego ducha, ale oddzielała ich zasłona, któréj żadne z nich zerwać nie śmiało, mimo zobopólnego uczucia.

I znowu Ludwika cierpiała tą myślą bolesną, że oddała swe serce człowiekowi, który należał do innéj. Nareszcie w drugą niedzielę przyszedł list do Edgarda na kopercie było pismo Marji. Ludwika widziała jak Gaspar listy rozdzielał, widziała, jak Edgard zbladł, gdy czytał adres. Trzymał list w ręku, a nie otwierał go jednak.

Zebrani otrzymali także świeże dzienniki i listy, każdy oddalił się, aby je spokojniéj przeczytać. Pan Merz otrzymał także ostatnie gazety i listy i wymówił się tem przed córką, że musi je w domu przeczytać.

Edgard stał jeszcze z niezłamaną pieczątką listu nieruchomie; wzrok Ludwiki spoczywał na nim badawczy, wreszcie przystąpił do niéj położył list i powiedział. Panno Merz cokolwiek bądź ten list zawiera, muszę pierwéj pani powiedzieć com postanowił. Nie mogę Marji nazwać moją, bo serce moje należy do innéj. Sądzę żeległo jest raz złamać wiarę, niż wlec całe życie z niewiarą w sercu. Takim jakim dziś jestem, jakim pozostanę nie mógłbym Marji uszczęśliwić. Pytałem siebie czyby nie lepiéj było, abym ten list nierozpieczętowany wrzucił tu w jezioro. Wzrok pani mówi mi żem nie powinien. Dobrze więc! Zechciéj go pani otworzyć!

— Ja?

— Tak, pani. Nic z tego co mnie obchodzi, co działa we mnie nie jest dla pani tajemnicą i nie powinno być dla pani obcem.

Ludwika spiesznie rozerwała kopertę. Zdziwiła się niemało, gdy zamiast pisanych znalazła drukowane słowa. Na żółtym, podobnym do pargaminu papierze wydrukowane były te słowa:

„Marja von Korneck.
Albrecht von Birkenstock
były rotmistrz, rządca dóbr królewskich R.
zaręczeni“

Edgard odebrał z rąk Ludwiki drukowany papier, przewracał go na wszystkie strony sądząc, że choć jedno słówko musi być dla niego od Marji, ale nie znalazł żadnego. Wtedy pochwycił rękę Ludwiki i zawołał:

— Czyż teraz mogę wszystko powiedzieć? Czy mogę powiedzieć jestem twoim? Czy zechcesz los mój podzielić, i zostać przewodnią gwiazdą mego życia?

— Nie teraz i nie tutaj, odrzekła Ludwika, wiedziała że z okien i balkonów zwracały się na nią liczne spojrzenia. Wróćmy do domu.

Gasper był niedaleko, drugiego człowieka nie było można znaleść. Gaspar więc z Edgardem wnieśli Ludwikę w fotelu do domu i zastali ojca zatopionego w gazetach, który zobaczywszy ich zawołał:

— Ludwiko wybrano mnie znowu przyszłą zatem zimę przepędzim w stolicy.

Ludwika wstrząsnęła głową.

— Jakto, nie wierzysz że mnie obrano.

— Nie to, ale jestem wybraną ojcze i sama wybrałam także! Proszę cię powiedz, dodała zwracając się do Edgarda.

Ten zaledwie zdołał kilka słów wymówić, tak głęboko był wzruszony; ojciec uścisnął go i uścisnął córkę. Wreszcie Edgard oświadczył że może Ludwice zapewnić wprawdzie nie zbytkowne, ale wygodne życie i dlatego ośmiela się prosić o jéj rękę.

Ojciec uśmiechnął się i opowiedział o owéj pracowni w dobrach Ludwiki, która odpowiadała wszystkiem wymaganiom prawdziwego artysty, a nie dyletantki dla któréj była zbudowaną.

Ludwika powstać już mogła teraz bez bólu, nawet stanąć. Lekarz prosił aby pozwoliła sobie raz jeszcze nogę obandażować, poczem wszystko dobrze już będzie.

Stary radca od lat wielu przestrzegał tego bardzo, aby nie mieć żadnych z mieszkańcami oberży stosunków. Tak on jak i jego żona zrośli już z ciszą domową, jéj spokojem i przecudnem powietrzem, którego dostarczała im przestrzeń górzysta otaczająca ich domek. Z panem Merz jednak wszedł w tak ścisłe stosunki, że odstąpił dla niego od swéj zasady.

Udał się potem do pokoi pana Merz i po serdecznem powinszowaniu dodał: Dla ciebie i twego dziecka to nie stosownie obchodzić zaręczyny w oberży. Żona moja prosi was do siebie.

Chętnie przyjęto te serdeczne zaprosiny. W domu radcy przy pełnych współczucia spojrzeniach pani domu i serdecznych słowach staruszka, odbyły się zaręczyny.

Ludwika miała na ręku pierścionek narzeczonéj, a pierwszą czynnością téj ręki było napisanie list do matki Edgarda, potem wsparta na jego ramieniu powróciła przez wieś do oberży.

Zaręczyny Ludwiki sprawiły w całem towarzystwie nowy rozruch, i znowu najpierwszy przyszedł melancholik i złożył gorące życzenia. Potem przyszły dzieci z bukietami kwiatów, żony malarzy, mężczyzni, radość była ogólną.

Gaspar nawet wciągnął na górę, leżącą nieopodal skały legii honorowéj mały moździerz, a wystrzały roznosiły echa gór rozgłośnie.

Ludwika udała się ze swoim narzeczonym do ogrodu, tu przypominali sobie wszystkie chwile od dnia poznania. Wieczorem gdy księżyc oświetlił jezioro wsiedli w łódkę i popłynęli. Z daleka tylko dobiegał duet wesoło gwizdanéj piosnki wśród cichéj ciepłéj nocy. Słuchaczom aż jakoś lżéj było na sercu. Jakże bo szczęśliwemi byli ci co tam płynęli.

* * *

Na dworzec kolei żelaznéj w górach środkowych Niemiec, zajechał znowu powóz, tym razem jednak była to szczelnie zamknięta kareta. Liście buków krążyły w powietrzu unoszone prądem wiatru, a deszcz drobniuchny a dojmujący, niby żartując sobie, raz uderzał o góry to znów z nich powracał.

Na stacji nie widać było żywéj duszy; teraz dopiero gdy świst lokomotywy dał się słyszeć, spiesznie zsiadł z kozła karety woźnica i przytrzymując dwoma rękami kapelusz podążył ku dworcowi.

Pociąg nadszedł, inspektor otworzył wagon pierwszéj klassy i powitał serdecznie wysiadającego zeń pana Merz, jednak dodał:

— Pozwól pan sobie złożyć powinszowanie z powodu zamęścia panny Ludwiki. Możnaż wiedzieć czy wróci ze swym małżonkiem w nasze strony?

— Naturalnie! Na wiosnę! Teraz młoda para bawi w Paryżu.

Pan Merz stał szczelnie płaszczem otulony na dworcu kolei. Wiatr północny powracającemu z ciepłego południa tem dokuczliwszym się wydawał. Wypakowano już rzeczy, pociąg odszedł, a pan Merz chciał sam być obecnym przenoszeniu pakunków, daremnie odradzał mu inspektor, daremnie służący przyrzekał dopilnować wszystkiego, pan Merz oparł się twierdząc, że tam była paka wymagająca szczególniejszéj przezorności.

Przecież nie zrobiłeś sobie pan jakiego żartu, jak kiedyś przyjaciołka córki pańskiéj panna Korneck, która psa włożyła w poduszkę dziecka?

— Nic podobnego. To obraz pędzla mego zięcia. Przyjedź pan do mnie to go zobaczysz.

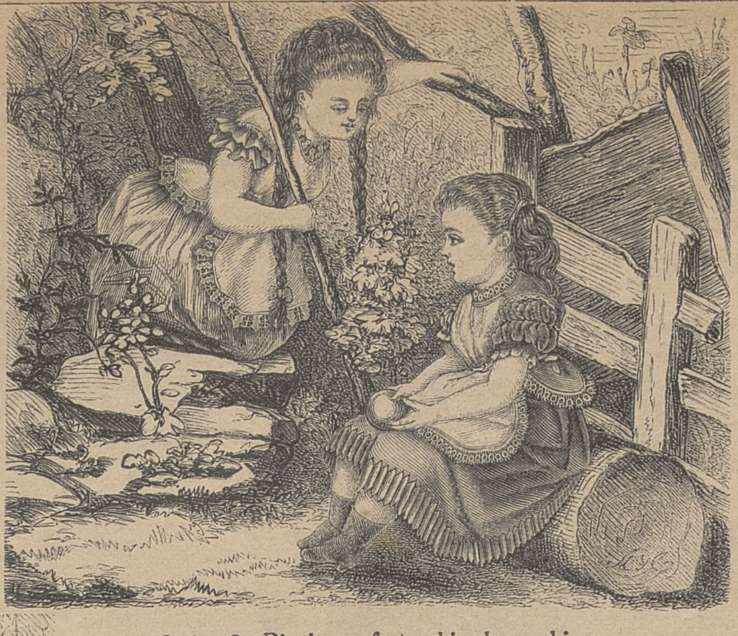
— Cóż on przedstawia? Mont Rosa, czy Jungfrau?

— Nic z tego. Zupełnie nieznaną górę nad jeziorem Vierwaldstädter, wszystkim obcą tylko nie nam, dawniéj nazywała się skałą legii honorowéj, dziś nazywają ją skałą miłości.

KONIEC.

Dokończenie opisu do ryciny 26 w N. 27. Tyg. Mód.

Rząd 3 robić bardzo luźno, 2 o. śc. na 1 pow. poprzedzającego rzędu. Następnie przy obrabianiu rzędu 4 co drugie wyciąga się oczka jako pikoty, w które robi się zawsze 2 oczka ściśle, a za temi jedno oczko powietrzne. Ostatnie obrobienie z 2



N. 1—2. Bluzkowe fartuszki z karoczkiem. Opis i krój na dodatku N. XV Fig. 46.

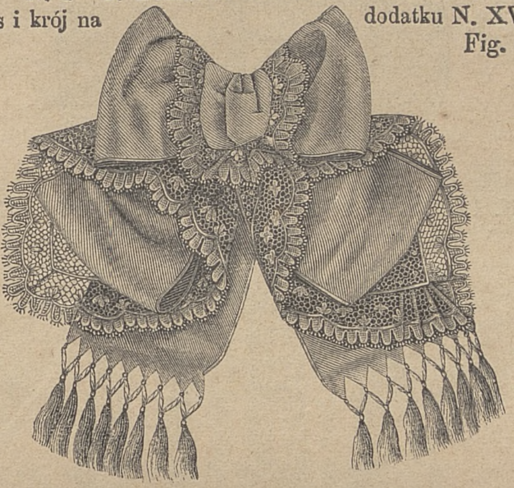
przodu prawie się łączą. Garnirunek stanowi frendzla 3 cent. szeroka, z materjału sukni siepana lub osobno robiona, a nad nią riusza.

N. 28. Pasek z karoczkiem i szarfą.

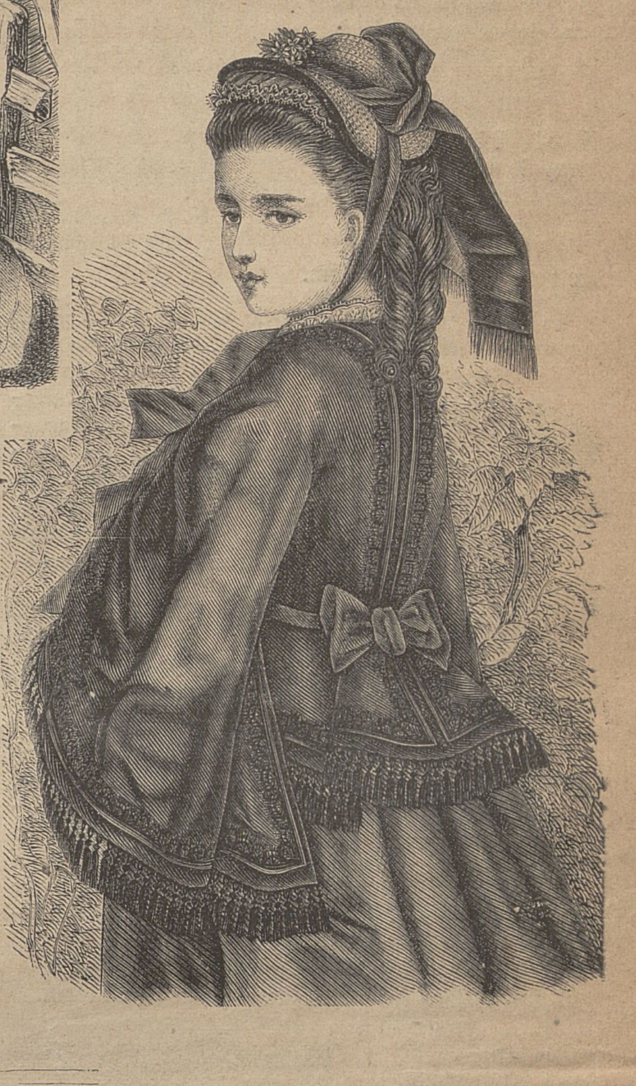
Przednia część karoczka składa się z dwóch, od dołu zaokrąglonych, w górze prosto ścię-



N. 4. Talma z paskiem i puszczonemi rękawami, Opis i krój na dodatku N. X. Fig. 27 i 28.



N. 3. Kokarda z koronką do kołnierzyka.



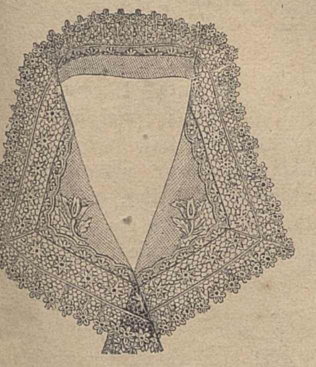
N. 5. Talma z paskiem i puszczonemi rękawami. Plecy Opis i krój na dodatku N. X Fig. 27 i 28.

oczek ścisłych przedzielanych 1 ocz. pow. zakończone jest pikotami z 4 o. pow. 1 o. śc. złączonych.

W dwóch mniejszych kwiatkach nie ma wcale słupków, tylko oczka ściśle zawsze od spodu brane, ilość zaś tychże i pikotów wskazuje rysunek. Połączenia kwiatków, listków i gałązek dopełnia się po większej części przez nieznaczne zeszycie.

N. 27 i 28. Dwa paski z karoczkami i kokardami.

Tak do sukien powłóczystych jak i do kostiumów z tunikami coraz więcej wchodzą w użycie paski z małemi karoczkami jak to przedstawiają ryciny.



N. 6. Kołnierzyk wykładany z haftowaną aplikacją.

N. 27. Karoczek z tyłu podpinany.

Prosty kawałek tkaniny 45 cent. długi, 20 cent. szeroki w końcach od dołu trochę zwężony, stanowi część tylną. Brzeg górny sfałdowany, przyszywa się do p ska, od dołu na środku trochę się podpina. . Klapki małe przednie, od dołu ku końcom zaokrąglone, zachodzą trochę na tylne, a z



N. 8. Stanik pod szyję z szerokiemi rękawami. Zob. N. 41. Opis i krój na dodatku N. XI. F. 29—32.

tych i trochę przymarszczonych kawałków, które podług rysunku N. 28 łatwo dopasować można. Z tyłu kokarda i skośne szarfy mają 25 cent. długości, 15 cent. szerokości. Skośna falbana 6 cent. szeroka, u dołu w duże, u góry w drobne płaskie zęby dziergana, stanowi garnirunek.

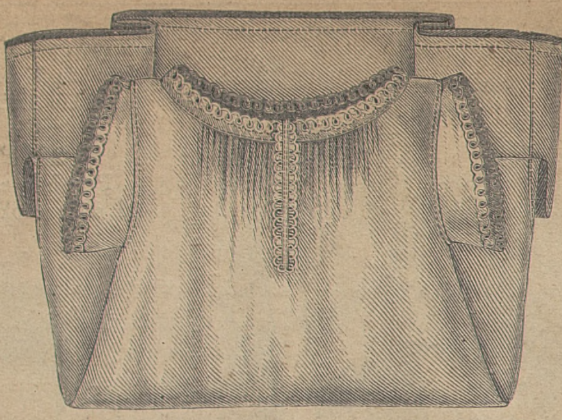
N. 29 — 30. Dywanik krzyżową robotą ściegiem podłużnym.



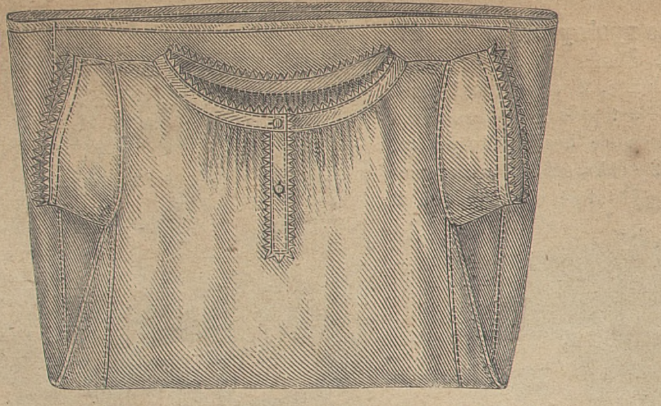
N. 7. Kołnierzyk z haftu gieniu rowego.

N. 29 podaje czwartą część deseniu na dywanik przed łóżko lub przed stół do pisania. Dywanik ten w guście tureckim robi się włóczką kastorową, ściegiem podłużnym (licząc na jeden krzyżyk deseniu, zawsze dwa ściegi dane tuż przy sobie przez 4 nitki wzdłuż a 2 nitki wszerz). Środkowa mozajka w guście tureckim bardzo dobrze

wydaje się przy tle w dwóch kolorach zielonych i czarnéj frendzli. Jakkolwiek załączamy objaśnienie kolorów użytych, niemniéj dodamy że najtroskliwszą b a c z n o ś ć zwrócić należy na dobór właściwych odcieni i ich harmonję.



N. 9. Koszula dla panienki od lat 13—16 Opis i krój na dodatku N. IV Fig. 8—9.

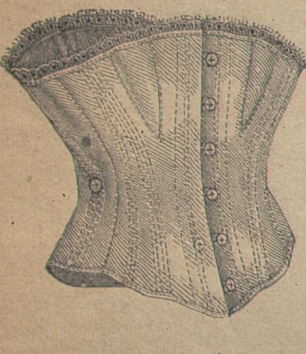


N. 10. Koszula dla panienki od lat 12—14. Opis i krój na dodatku N. IV. Fig. 8 i 10.

N. 31—34. Cztery rękawy do sukien lub kaftaników.

N. 31. Rękaw wązki z rozciętem wyłożeniem.

Na zwykłym wązkim rękawie dodany jest mankiet sztywnym muślinem podszyty, 2 cent. szeroką plisą objęty, a z wierzchu rozcięty i kokardą złączony. Ten rodzaj przybrania nadaje się najlepiéj do sukien lub kaftaników z aksamitu lub rypsu, z oszyciem z koronki jedwabnéj lub pasmanterji.



N. 12. Gorset zapinany na guziki dla panienki od lat 11—14. Przód. Opis i krój na dodatku N. XIV fig. 41—45.

N. 32. Rękaw z wyłożeniem i falbaną.

Wyłożenie cokolwiek zwężone i zaokrąglone przy zwierzchnim zeszyciu, może być tegoż co suknia, lub trochę ciemniejszego odcieniu. Daje go się na sztywnym muślinie i garniruje marszczoną falbaną, zakończoną szerokim, stębnowanym obrąbkiem.

N. 33. Rękaw szeroki z przepiętym mankietem.

Zwykły szeroki rękaw założony jest z wierzchu w fałdy i przedzielony plisą aksamitną lub jedwabną w ten sposób, iż przepięcie to tworzy falbanę.

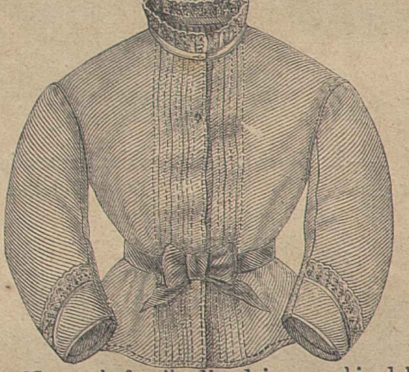
N. 34. Rękaw z plisowaną falbaną.

Podług zwykłéj wązkiéj formy przykrojony rękaw, dochodzący po za łokieć, zakończony jest u ręki szeroką, plisowaną falbaną, mającą w środku 18 cent. szerokości, w końcu do 6 cent. zwężoną. Plisowanie jest w pewnym od góry odstępie przestębnowane, pliska 2 cent. szeroka z obu stron przestębnowana, ciemniejszego koloru zakończa falbanę. Takaż plisa 5 cent. szeroka, w górze oszyta riuszą jaśniejszą 3 cent. szeroką u dołu frendzlą w dwóch cieniach, stanowi nagłówek nad falbaną.

N. 35 i 36. Ubranie domowe dla osób starszych.

Jakkolwiek kostiumy z tunikami ciągłego używają wzięcia, starsze jednakże panie zwłaszcza do codziennego ubrania, przekładają suknie z tyłu cokolwiek powłóczyste.

Stanik bez karoczka z fiszbinami, ku przodowi trochę bawetowo przedłużony i wązkim paskiem zapięty, dobrze odznacza



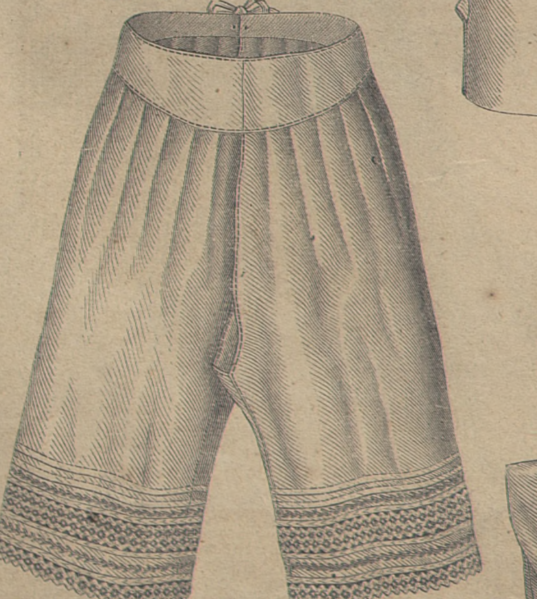
N. 11. Nocny kaftanik dla dziewczynki od lat 7—10 Opis i krój na dodatku N. 1. Fig. 1—3.



N. 14. Nocna koszula dla dziewczynki od 8 — 12 lat. Opis i krój na dodatku N. V. Fig. 11—13.



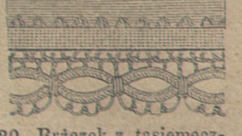
N. 15. Koszula z przymarszczonemi rękawkami dla chłopczyka. Opis i krój na dodatku N. VII fig. 21—22.



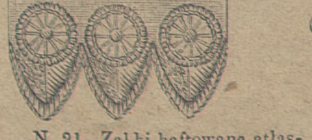
N. 17. Majtki dla panienek. Opis i krój na dod. N. II. Fig. 4—5.



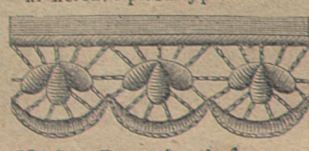
N. 18. Majtki zakończone wolantem. Opis i krój na dodatku N. III Fig. 6—7.



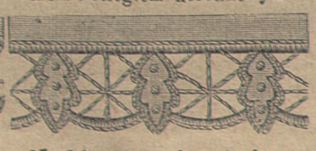
N. 20. Brżezek z tasiemeczki koron. i płaskiéj plecionki.



N. 21. Ząbki haftowane atłaskiem i ściegiem koronkowym.



N. 22. Brzeżek z haftem gipiurowym.



N. 23. Brzeżek z haftem gipiurowym.

figurę. Falbany skośne 6—8 cent. szerokie i naszycia z wązkiéj wstążki bardzo dobrze wyglądają przy sukni wełnianéj w wązkie czarne i białe paski. Fartuszek z czarnéj materji, u dołu wolantem 20 cent. szerokim zakończony, nad nim i z boków plisą aksamitną 3 cent. szeroką, z wypustką atłasową oszyty, ładnie dopełnia ubrania. Do paska przyczepiona kieszonka do kłębka pod N. 36 podana.

N. 37. Szyfonierka na szczotki.

Oprócz wieszadła do rzeczy, tak dla wygody jak i ozdoby przedpokoju, przybija się na ścianie szyfonierka do szczotek od rzeczy. Ramy modelu są z ciemnego drzewa, robotą snycerską wykonane w ten sposób, iż w zwierzchniéj części pozostawiono miejsce na medaljon haftowany i cyfrę złotem wyszywaną na zielonym aksamicie.



N. 13. Gorset zapinany na guziki dla panienki od lat 11—14. Plecy. Opis i krój na dodatku N. XIV, Fig. 41—45.

Opisy do N. 40 i do N. 41 na dodatku z krojami.

Opis N. 28.

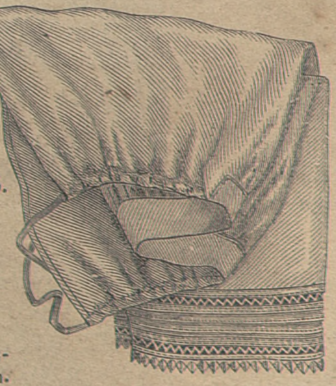
N. 1. Kostium letni z materjału do prania, z plisowanemi falbankami i wełnianą taśmą.

Gładka spódnica z materjału kiprowanego czarnego z białem, przybrana jest u dołu plisowanym wolantem, 23 cent. szerokim, którego fałdy są $2^1/_2$ do 3 cent. szerokie i na $1^1/_2$ cen. głęboko zakładane. Nagłówek ze skosu $3^1/_2$ cent. szerokiego, plisowany w $1^3/_4$ cent. szerokie fałdy, przyszyty jest bogatą 1 cent. szeroką taśmą wełnianą. Nad nim dwa takież skosy przyszyte taśmą, stanowią dopełnienie przybrania. Takiż plisowany wolant zakończa tunikę i stroi stanik i karoczek. Gładka, okrągła tunika jest tylko z tyłu podpięta. W miejsce stanika z karoczkiem i szerokiemi rękawami może być r ó w n i e ż noszoną wcinana bluzka i puszczony kaftaniczek na wierzch.

Kapelusz okrą g ł y z szerokiem rondkiem z włoskiéj słomy, przybrany czarną aksamitką i gałązką róż.



N. 16. Koszula wycięta dla chłopczyka. Opis i krój na dodatku N. VII Fig. 21 — 22.



N. 19. Majtki z prostem zakończeniem. Opis i krój na dodatku N. III Fig. 6—7.

N. 2. Kostium z falbanami fałdowanemi i pliskami.

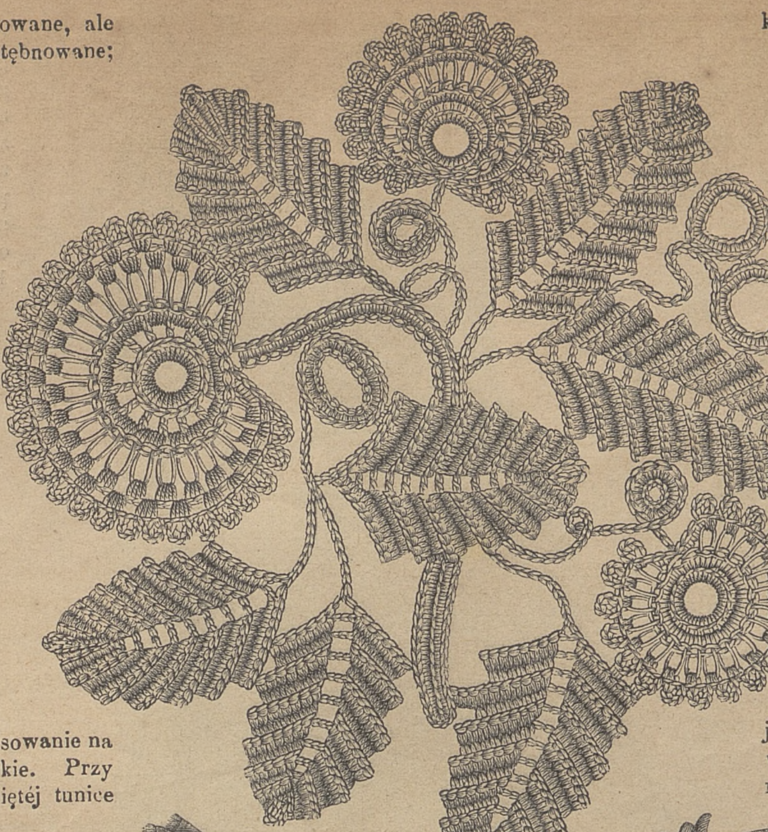
Plisowanie na tym modelu, odszytym z angielskiego

płótna w kolorze „éeru" jest nie tylko zaprasowane, ale także od dołu na odstępie $1^1/_2$ cent. przystębnowane;



N. 24. Czepeczek alzacki z trójkątnéj chusteczki.

dwa rzędy stębnówki przytrzymują pliski. Plisowanie na sukni dane dwoma rzędami jest 16 cent. szerokie. Przy gładkiéj z przodu zaokrąglonéj, z boków podpiętéj tunice naszyte jest u dołu, 8 c. szeroka, a przy staniku tylko 4 cent. szeroka plisowana falbanka. Szmizetkowy kołnierzyk i szerokie rękawki z muślinu, oszyte są koronką i aplikacją. Okrągły kapelusz z brązowéj słomy, przybrany wstążką i piórem.



N. 26. Bukiet szydełkowy jako patarafka lub aplikacja.



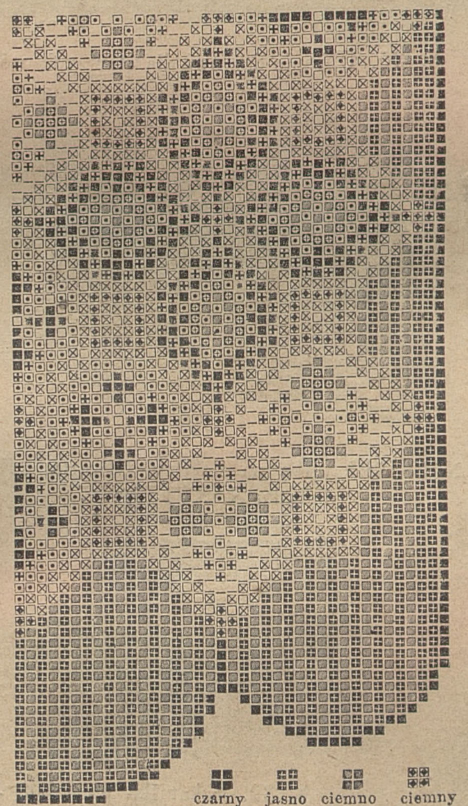
N. 27. Pasek z karoczkiem z tyłu podpiętym.

N. 3. Lambrekina.

Haft w mięszanych kolorach, aplikacja i plecionka.

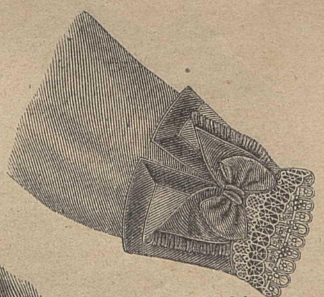
Materjał: czerwono-brązowe sukno albo ryps wełniany na tło, sukno w dwóch brązowych odcieniach na aplikację, kordonek w trzech odpowiednich cieniach i czarny, jasna plecioneczka, złoty sznureczek i plecionka.

Sukno w brązowych kolorach do cieniu, na którem odrobiony jest ładny haft złotą plecioneczką i sznureczkiem, wydaje się równie pięknie na ciemnem, czerwono-brązowem tle naszego wzoru, jako też na zielonem, fijołkowem a nawet białem. Obie połowy aplikowanego liścia, z ciemnego i jasnego sukna, oszytego wokoło złotą plecioneczką, przeszywaną czarnem są złączone środkiem ściegiem krzyżowanym, najciemniejszym kordonkiem. Żyłki na liściu odrobione dwoma cieniami jasnemi, ściegiem cierniowym. Gałązki po za konturem liścia ze złotego, przeszywanego czarnem sznureczka, są odrobione długim ściegiem dwoma jasnemi cieniami. Złota plecioneczka otacza również kontury wzoru, odrobione ciemnym cieniem, ściegiem łańcuszkowym.

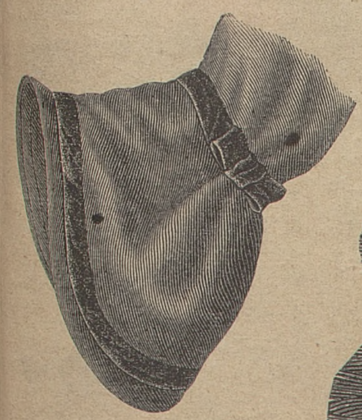


N. 29. Deseń do dywanu ryc. 30.

czarny, jasno zielony, ciemno zielony, ciemny; jasny. brązowy, najjaśniej. brązowy, niebie., ciemno pąsowy, jasno pąsowy, biały



N. 31. Wązki rękaw z rozciętem wyłożeniem.



N. 33. Szeroki rękaw z przepięciem.

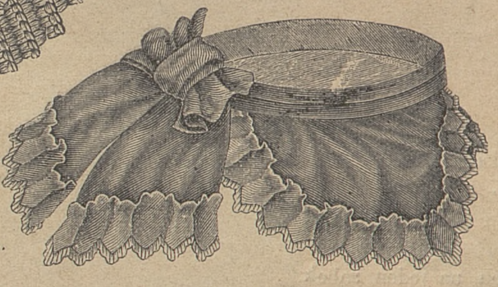
Takimże ściegiem odrobione jest przyozdobienie po za liściem i między jasną plecioneczką,

kordonkiem środkowego cieniu.

Arabeska całéj lambrekiny tworzy ramkę, stosowną do jakiéjkolwiek środkowéj rozety, równie jak i do przedstawionego na wzorze liścia, piękny bukiet w jasnych kolorach, ściegiem płaskim dałby się tu bardzo zastosować.



N. 25. Czepeczek alzacki z kwadratowéj chusteczki.



N. 28. Pasek z karoczkiem i szarfą.

N. 4—8. Rozmaite szlaczki i wstawki do przyozdobienia bielizny dla dzieci.

Robota szydełkowa, frywolity z plecionką mignardise i ząbki.

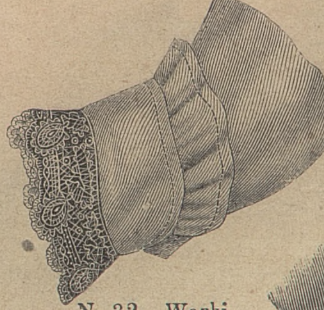
Skrócenia: o. oczko, o. ści: oczko ścisłe, o. pow. oczko powietrzne, sł. słupek, pod. węz. podwójny węzełek, p. pikot.

N. 4. Koroneczka z sutaszu „mignardise" i roboty szydełkowéj.

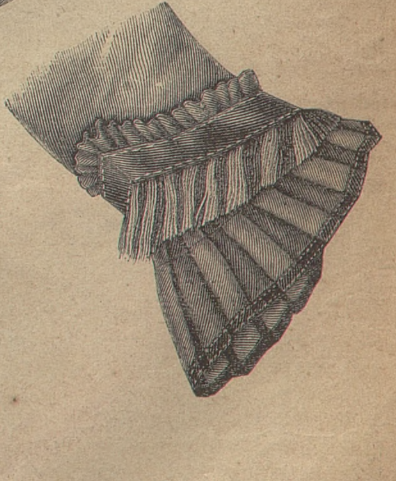
Na każdy ząbek z plecioneczki odrabia się szydełkiem jedno śc. oczko za pikot w plecioneczce, potem * 6 o. pow. 6 o: śc. co każdy pikot, 2 o. pow. 1 śc. o. łańcuszkowe w czwarte z sześciu pow. o. 2 o. śc. rozdzielone 1 o. pow. zajęte w dwa następne pikoty. Powtórzyć od * 1 sł. i 2 o. pow. naprzemian stanowią brzeg górny. W zagłębieniach łuków, jak to rysunek wskazuje, każde dwa pikoty są z sobą zszyte.

N. 5. Wstawka z plecionki „mignardise," frywolitów i szydełkowéj roboty.

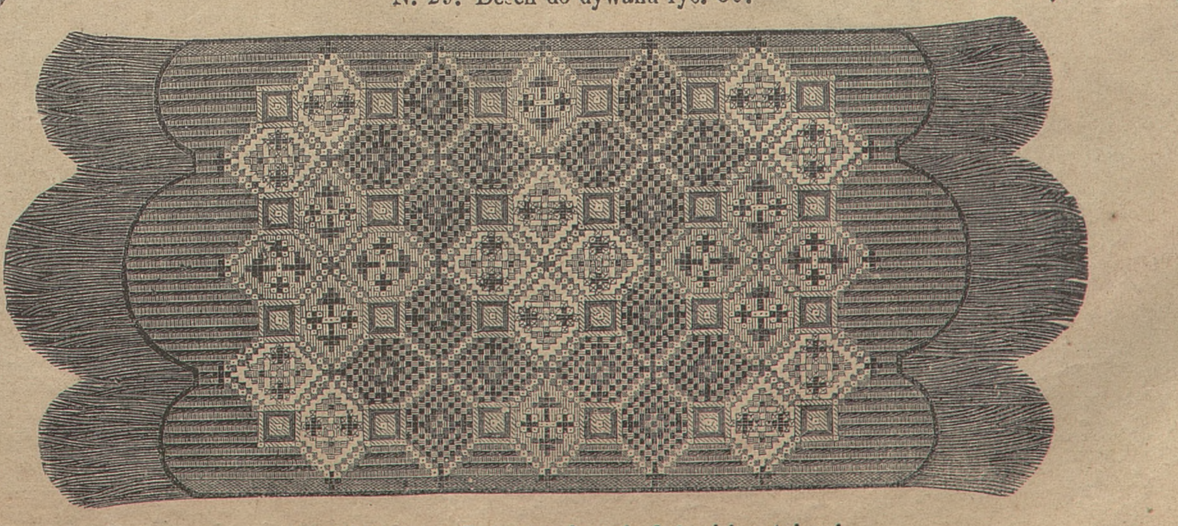
Zajmowane za pikoty ząbki frywolitowe odrobione są dwoma nitkami z bawełny średniéj grubości i mają 12 pod. węz. i 1 p. w środku. Na rzędy brzeżne odrabia się szydełkiem cienką nitką



N. 32. Wązki rękaw z wyłożeniem i falbaną.



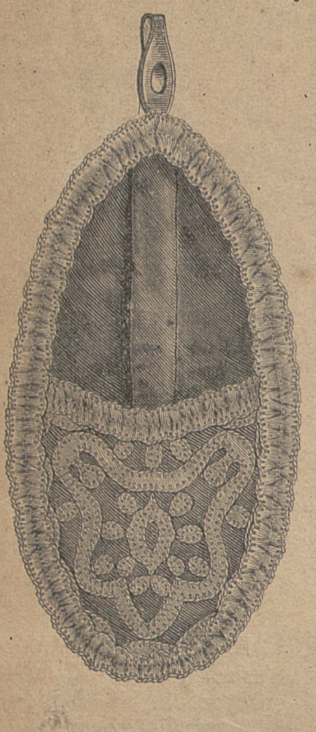
N. 34. Szeroki rękaw z plisowaną falbaną.



N. 30. Dywan. Robota na kanwie dużemi krzyżykami.

naprzemian, 1 o. śc. w środkowy p. ząbków 3 o. pow., 1 sł. długi w zagłębienie i 3 o. pow.. Ostatni rząd stanowią sł. rozdzielane 1 o. powietrznym.

N. 6. Koroneczka z ząbków i oczek powietrznych.



N. 36. Kieszonka do kłębka. Deseń na dodatku Fig. 46.

Robić 14 luźnych o. zebranych na jeden ząbek piętnastem oczkiem, stanowi podstawę do muszek, opuszczając 5 o. pow. między każdem ząbkiem. Za te ząbki zajmuje się 12 pentelek przedzielonych 3 o. pow. stanowiącemi pikot środkowy. Ząbki ostatniego rzędu liczą 5 o. pow. i 1 o. ścisłe.

N. 7. Koroneczka robotą frywolitową i szydełkową.

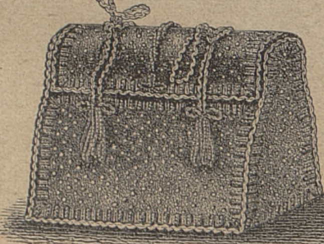
Na ząbki pierwszego rzędu, zajęte za pikoty pleconeczki i odrobione dwoma nitkami, liczy się 10



N. 35. Ubranie domowe dla starszych osób.

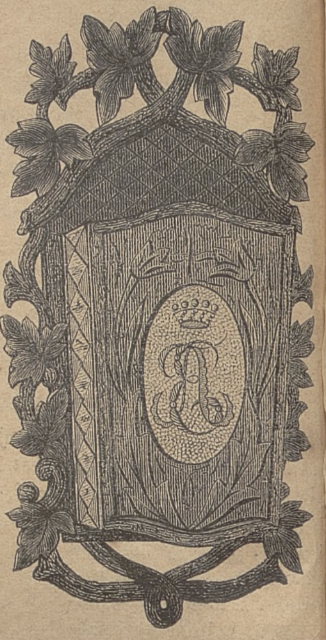


N. 38. Szkatułka na flakony. Otwarta. Krój na dodatku N. XVI Fig. 47.



N. 39. Szkatułka na flakony. Zamknięta. Zob. ryc. 38.

pod. węz. z 1 p. w środku, na ząbki zaś drugi go rzędu, trzeba odrabiać 3 pod. węz. 5 długi p. przedzielanych 2 pod. węz. i 3 pod. węzełk mi. Następnie szydełkiem zajmuje się 1 o. ś za dwa razem pikoty brzeżne, w zagłębieniu, następne 3 p. bierze się 3 o. śc. rozdzielane 2 powietrznemi. Małe za każde 2 pow. ocz. za mowane ząbki, składają się z 1 o. śc. 2 sł. i o. śc. Jako brzeg górny odrabia się naprzemi 1 o. śc. za p. plecionki i 1 o. powietrzne.



N. 37. Szyfonierka do chowania szczotek.

N. 8. Wstawka frywolitowa z ząbkami z plecioneczki.

Środkowa część wstawki, przedstawia 2 rz dy zamkniętych owali, złożonych z 2 pod. węz. p. 3 pod: węz., 1 p: 3 pod. węz., 1 p: i 2 po węz:, które złączone są za boczne pikoty. Rz robotą szydełkową, do którego przyszywają się ząb z tasiemeczki składa 1 o. śc. za p. środkowy owali i 3 powietrzne.

Dalszy ciąg op su dodatku numer 28, nastąpi w Nr 28 Tyg. Mó



N. 40. Stanik pod szyję z długim ranwersem z patkami. Opis i krój na dodatku N. XII Fig. 34—35. Krój stanika patrz N. 41 i 8.



N. 41. Stanik pod szyję z szerokiemi rękawami. Przód do ryc. 8. Opis i krój na dodatku N. XI Fig. 29—32.

Dodatek do N 27 i 28 Tygodnika Mód w Warszawie

1871 roku.

Opis krojów.

Nr. 1. Nocny kaftanik dla dziewczynki od lat 7—10 Rycina 11 w N. 27 Tygodnika Mód.

Fig. 1. Przód kaftanika.
Fig. 2. Połowa pleców.
Fig. 3 Rękaw.

Krając podług fig. 1 przody kaftaniczka z szyrtyngu czy perkalu, trzeba przypuścić na szeroki stębnowany obrąb i zakładki. Plecy skojone podług fig. 2 podszywają się w pasie od spodu listewką i nawłóczą tasiemką do przymarszczenia. Wykrój pod szyją oszywa się wązką listewką i garniruje haftowaną batystową stojącą falbanką. Zwierzchnie połowy rękawów pryozdobione wyłogami, których kształt oznacza forma fig. 3. Wyłogi obejmują się ukosem ze sznureczkiem i garnirują w górze takąż jak u szyi falbanką.

N. II. Majtki dla panienki od lat 14—16 Rycina 17 w N. 27 Tyg: Mód.

Fig. 4. Połowa majtek.
Fig. 5. Połowa paska.

Forma pod fig. 4—5 stanowi główną podstawę kroju; stosownie do wieku i wzrostu można ją z łatwością zmniejszyć lub powiększyć i zmienić garnirunek. Boki zeszywa się podług wskazania liter, otwarty wykrój podszywa wązką listewką lub tasiemką.
U góry każda połowa układa się w marszczki lub w fałdki równej wielkości i liczby i wszywa w pasek szerszy z przodu, a z tyłu zwężony. Przednie części przy wszyciu zakładają się jedna na drugą na 1 cent:. Z tyłu pasek zapina się na guziczki i prócz tego dla pewności zawiązuje z wierzchu na przyszyte tasiemki.

N. III. Majtki dla dziewczynki od lat 9—13 Rycina 18 i 19 w N. 27 Tyg. Mód

Fig. 6. Połową majtek.
Fig. 6. a Mały format połowy majtek ze wskazówką zmniejszenia wzoru fig. 6.
Fig. 7. Połowa paska.

Fig. 6 wskazuje jakim sposobem można dokładnie zmniejszyć lub powiększyć formę, która mimo odmian garnirunku zawsze pozostaje ta sama. Ryc. 18 i 19 różnią się jeszcze od ryc. 17 wszyciem paska, którego formę podaje fig. 7, a do którego wycina się odpowiednio majtki z przodu, z tyłu zaś podszywa listewką i nawłóczy na tasiemkę. Garnirunek ryc: 18 stanowi koronkowa lub szydełkowa wstawka i szeroka falbana odpowiednim brzeżkiem oszyta.

N. IV. Koszula dla panienki od lat 12—16 Rycina 9 i 10 w N. 27 Tyg. Mód.

Fig. 8. Połowa przednia i tylna górnej części stanu.
Fig. 9. Połowa pierwszego rękawka.
Fig. 10. Połowa drugiego rękawka.

Podana forma górnej części koszuli, dla panienki średniego wzrostu, powinna mieć od środka ramienia 100 cent: długości. Przód i plecy krają się łącznie, z płótna szerokiego, a kawałki ścięte od góry stanowią kliny dolne, dodane w ten sposób, ażeby koszula miała u dołu 190 cent: obwodu. Na rękawki, których formę podaje fig. 9, wystarcza płótno wycięte z górnego wykroju. Wszycie rękawka nie tylko wzór wskazuje lecz i litery na formie oznaczają. Górny wykrój wszywa się w pasek prosty, podwójny, 76 cent: długi. Szlaczek haftuje się od razu na rękawkach i podwójnym pasku lub kupuje gotowy i przystębnowywa. Zamiast haftu można oszyć koroneczką szydełkową lub frywolitową.

N. V. Nocna koszula dla dziewczynki od lat 8—12 Rycina 14 w N. 27 Tyg. Mód.

Fig 11. Połowa przednia i tylna górnej części stanu.
Fig. 12. Połowa karczka.
Fig. 13. Połowa rękawka.

Tymże samym co i dla dorosłych krojem koszula, z tyłu w karczek wszyta, z przodu nakształt kaftanika dopasowana i na guziczki zapinana. Rękawy długie przy rękach przymarszczone, w prosty pasek wszyte i haftowaną falbanką $2^1/_2$ cent: szeroką garnirowane; takaż falbanka otacza wykrój pod szyją i zakładę z przodu. Długość i szerokość koszuli zastosowana być musi do wzrostu; na naszym wzorze do 62 cent: długości było 132 dolnego obwodu. Na formie 11 oznaczony jest wykrój pleców i przodu i długość przecięcia na przednią zakładę, oprócz której można jeszcze dać stębnowane zakładki.

N. VI. Koszula dla chłopca od 9—12 lat Rycina 17 i 18 w N. 28 Tygodnika Mód.

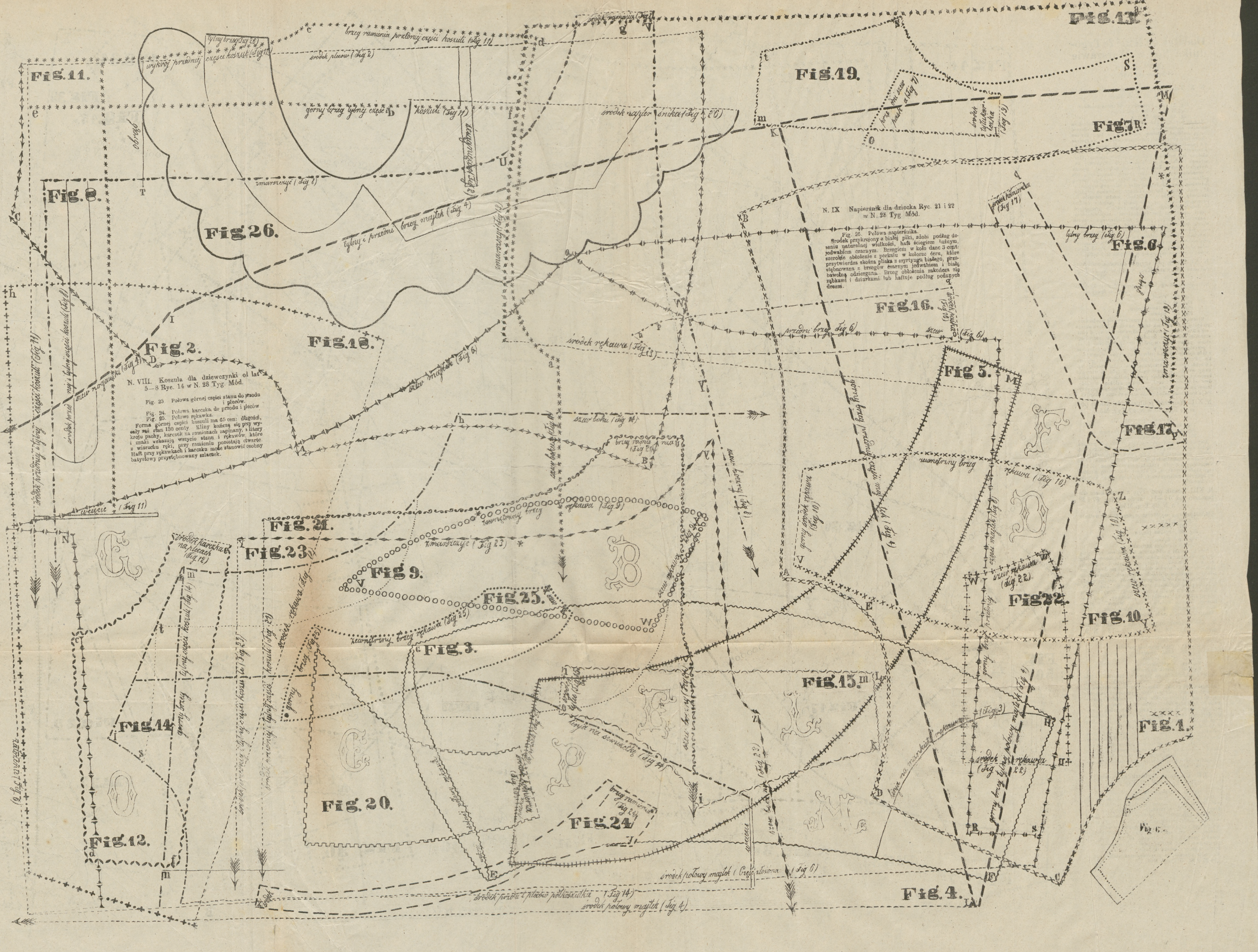
Fig. 14. Połowa przednia i tylna stanu.
Fig. 15. Połową karczka do pleców.
Fig. 16. Połowa paska.
Fig. 17. Połowa kołnierzyka.
Fig. 18. Połowa rękawa.
Fig. 19. Połowa drugiego mniejszego karczka.
Fig. 20. Połowa drugiego mniejszego kołnierzyka.

Podług tej formy z małą odmianą można wykroić koszulę, rycinę 17 ze stojącym kołnierzem i koszulę z wykładanym kołnierzem ryc: 18.
Długość koszuli ryc: 17 od wykroju pachy do dołu 60 cent:, zaś roztwarcie z boków u dołu 21 cent:. Gors podwójny, płócienny, na guziki zapinany, oprócz szerokiego obrębu zdobią z wierzchu wąziutkie stębnowane, zakładki. Kołnierz stębnowany z zaokrąglonemi rogami i takież mankiety u rękawów, zapięte na jeden duży guzik.
Koszula ryc: 18 krótsza od poprzedzającej, ma tylko 41 cent: długości, licząc od wykroju pachy, a dolne boki roztwarte na 15 cent:. Na rękawy, karczek i wykładany kołnierzyk wszyty w prosty pasek 1 cent: szeroki, podane formy na fig. 18—20. Gors pojedynczy zaszyty w proste drobne zakładki, ma łącznie z obu stron 14 cent: szerokości, 27 cent: długości. Wykrój pod szyją wszyty w pasek 2 cent. szeroki, z przodu na guzik zapinany; na środku z tyłu przyszyty także guzik, do przypinania kołnierzyka, osobno wszytego w pasek. Mankiety potrójne na dwa guziki zapinane.

N. VII. Koszulka wycięta dla chłopczyka od lat 2—4 Ryc. 15 i 16 w N. 27 Tyg. Mód.

Fig. 21. Połowa górnej części stanu, przodu i pleców.
Fig. 22. Połowa rękawa.

Stan do ryciny 15. 50 cent: długi, bez klinów, u dołu wszyte małe kliniki. Rękawy proste z klinikami pod pachą, w górze trochę nadmarszczone, z brzegu haftowane. Wykrój pod szyją, listewką obstębnowany i szlaczkiem haftowanym oszyty.
Całą różnicę ryciny 16 stanowi to że rękawki są bez kliników gładkie, przód nieprzecinany tylko ramiączka na guziki zapinane.



N. VIII. Koszula dla dziewczynki od lat 5—8 Ryc. 14 w N. 28 Tyg. Mód.

Fig. 23 Połowa górnej części stanu do przodu i pleców.
Fig. 24. Połowa karczka do przodu i pleców
Fig. 25. Połowa rękawka.

Forma górnej części koszuli ma 65 cen: długości, cały zaś stan 130 centy. Kliny kończą się przy wykroju pachy, karczek na ramionach zapinany, a litery i znaki wskazują wszycie stanu i rękawów, które z wierzchu ręki, przy ramieniu pozostają otwarte. Haft przy rękawkach i karczku może stanowić osobny batystowy przystębnowany szlaczek.

N. IX Napierśnik dla dziecka Ryc. 21 i 22 w N. 28 Tyg. Mód.

Fig. 26. Połowa napierśnika.

Środek przykrojony z białej piki, zdobi podług deseniu naturalnej wielkości, haft ściegiem luźnym, jedwabiem czarnym. Brzegiem w koło dane 3 cent: szerokie obłożenie z perkalu w kolorze écru, które przytwierdza skośna pliska z szyrtyngu białego, przestębnowana z brzegów czarnym jedwabiem i białą bawełną odzierganą. Brzeg obłożenia zakończa się ząbkami i dziurkami lub haftuje podług podanych desem.

Dodatek do N 27 i 28 Tygodnika Mód w Warszawie

1871 roku.

Opis krojów.

N. X. Talma przepięta paskiem Rycina 4 i 5 w N. 27 Tyg. Mód

Fig. 27. A. Przednia część talmy założona.
Fig. 27. B. Tylna część talmy.
Fig. 28 Część boczna.

Letni korcik, lekko podwatowany tybet, kolorowa flanelka, kaszmir albo czarny jedwabny ryps, stanowić mogą materjał na talmę, stosownie do tego czy ma służyć jako strojne lub codzienne okrycie. Na rycinie 4 z przodu przedstawiona talma, odrobiona jest z fijołkowej flanelki z czarną jedwabną podszewką; ułożona jest bez fałdy i nie przepięta paskiem. Garnirunek składa się z aksamitnych ząbków, naszytych dwoma rzędami i z frendzli wełnianej. Rycina 5 przedstawia z tyłu talmę czarną kaszmirową bez podszewki, oszytą w koło 3 cent: szeroką, czarną jedwabną plisą. Jedwabne plisy z atłasową wypustką, $1^1/_2$ cent: szeroka koronka i czarna jedwabna frendzla, stanowią przybranie. Wielkość wzoru zmusiła do przecięcia formy na ramionach i podania osobno w dwóch częściach, jednakże każda z przeciętych części, opatrzona jest wyłożeniami i odpowiedniemi znakami, po których podług zmniejszonego formatu wzoru, łatwo bardzo złożyć całość. Osobno skrojona część boczna podług fig: 28 tworzy wszyciem puszczony rękaw. Czarny wełniany $2^1/_2$ cent: szeroki pasek, przymocowany po części boczne, przyciska w kontrafałdę ułożony karoczek, z części tylnej. Przód talmy wolno puszczony zapina się w górze na trzy haftki.

N. XI. Stanik pod szyję z karoczkiem i szerokiemi rękawami Ryc. 8 i 41 w N. 27 Tyg. Mód

Miara przez połowę: 52 cent: górna objętość 32 dolna objętość figury.—

Fig. 29. Przód.
Fig. 30. Bok.
Fig. 31. Połowa pleców.
Fig. 32. Rękaw.

Rycina 41 przedstawia z przodu suknię z jedwabnego bastu. Garnirunek tegoż co suknia koloru składa się z $3^1/_2$ cent: szerokiej, jedwabnej, plisy, 6 cent: szerokiej jedwabnej frendzli i $2^1/_2$ cent: szerokiego skosu plisowanego w jedną stronę, w skośne fałdki i przystębnowanego z brzegów. N. 8 przedstawia z tyłu suknię czarną z jedwabnego rypsu, wraz z tuniką. Przybranie stanowi 10—12 cent: szeroka gipiura i 6 cent: szeroka marszczona buta. Pod szerokie rękawy wszyte są drugie wązkie. Z tyłu na wierzchu karoczka, trzy jedwabne pukle, podłożone muślinem, dwa od spodu 12 cent: szerokie, założone w fałdę, trzeci zwierzchni 18 cent: długi, a 10 szeroki przykrywa je środkiem; zakończenie stanowi suta kokarda.

N. XII. Ranwers podłużny do stanika pod szyję Ryc. 40 w N. 27 Tyg: Mód.

Krój stanika patrz nr. XI.

Fig. 33. Połowa ranwersu.
Fig. 34. Patka zakończająca ranwers.
Fig. 35. Połowa mankieta.

Zwykle teraz przy stanikach do paska, przypuszcza się tak z podszewki jak i wierzchu, jakby króciutki karoczek, na którym zapina się pasek. Spiczaste końce ranwersu z aksamitu lub materji w tym co sukni a albo ciemniejszym cieniu, zakładają się pod pasek, do którego także przyczepia, się klapki. Aksamitny mankiet na rękawie i ranwers oszyte być mogą ruszą, koronką lub frendzlą.

N. XIII. Stanik pod szyję z karoczkiem dla panienki od 12—14 lat do ryciny 37 i 38 w N. 28 Tyg. Mód.

Objętość przez połowę. 40 cent: w górze 29 cent: w stanie.

Fig. 36. Przód stanika.
Fig. 37. Bok.
Fig. 38. Połowa pleców.
Fig. 39. Rękaw.
Fig. 40. Połowa karoczka.

Dwa te staniki z odcinanem karoczkiem, różnią się tylko układem garnirunku, są zaś odrobione podług kroju fig. 36—40. Wzory są z materji wełnianej, lecz krój i układ równie dobrze nadaje się do piki jak i innych wyrobów w dwóch odcieniach. Garnirunek stanowi rurkowany 3—5 cent: szeroki materją objęty wolant i plisa haftowana z ciemniejszej materji. Takiż haft zdobi 3 cent: szeroki pasek. Przy staniku wolant 4—5 cent: szeroki jest plisowany. Nad wolantem wstawka z białej koronki „bruges" w górze plisą z ciemnmiejszą wypustką zakończona. Pasek i kokarda przy nim także ciemniejszą plisą objęte.

N. XIV. Gorset zapinany na guziki dla panienki od 11—14 lat. Ryc. 12—13 w N. 27 Tygodnika Mód.

Fig. 41. Część przednia gorseta.
Fig. 42. Klinik przedni.
Fig. 43. Część boczna.
Fig. 44. Część pleców.
Fig. 45. Klinik na biodra.

Gorset z klinikami na piersiach i biodrach, z tyłu sznurowany zwykłym sposobem, bez brykli z przodu, jest zapięty na guziki. Zamiast fiszbinów wszywa się sztywny sznurek podług linijek oznaczonych na formie 41, 43 i 44, tylko z przodu przy pentelkach i guziczkach i z tyłu przy dziurkach do sznurowania, daje się fiszbiny. Wierzch przykrawa się z białego lub czarnego drylichu, albo z pąsowego tybetu; podszewka z płótna lub szyrtyngu. Pojedyncze części podług liter na formie oznaczone, zeszywa się stębnówką, jedwabiem kolorowym. Pentelki do guziczków, z wązkiej kiprowanej tasiemki, 2 cent: długie, wstębnowywa się między wierzch i podszewkę. Brzegi objęte tasiemeczką w górze i szlaczkiem haftowanym oszyte; w pasie z tyłu i boków przyszyte 3, guziki do których przypinają się spódnice. Rycina 13 przedstawia gorset z tyłu.

N. XV. Bluzkowe fartuszki z karoczkiem Ryc. 1—3 w N. 27 Tyg. Mód

Fig. 46. Połowa fartuszka.

Dwa jednakowej formy fartuszki, można wykroić z cienkiej białej piki, dymy, batystu écru, albo z cienkiego płótna. Przód fartuszka zasłania suknię, tylna zaś część układa się w zgrabny karoczek. Oprócz wązkiego szwu na ramionach, obie części fartuszka złączone są z sobą szarfami związanemi na boku. Do nawleczenia szarf podszywa się w pasie od spodu listewkę, szew której oznacza fig. 46. Pod szyją daje się obrębek 1 cent. szeroki z prawej strony przystębnowany, w który nawleka się tasiemeczkę do wiązania. Rozmaite szlaczki do przyozdobienia, podają ryciny 20—23 w Nr. 27 Tygod. Mód.

